

magazyn REJSY *razem z dodatkami*

Rozmawiamy z Maciejem Samsonowiczem, doradcą Ministra Obrony Narodowej

● O Zielonym Okręgu Przemysłowym i powiązaniu rozwoju gospodarczego z bezpieczeństwem - str. 18-19

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz zapowiedziami najciekawszych programów



Dziennik Bałtycki

80 LAT

Piątek
7.11.2025

www.dziennikbaltycki.pl

Nr 259 (24 620) // Rok 80
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

Magazyn Puls

Maturzysta z jedyneką
z matematyki zdał
egzamin komisyjny
na 90 proc. **str. 25**

GDAŃSK

**Spór o Güntera
Grassa i o tożsamość**

Na marginesie debaty w Oliwskim Ratuszu Kultury poświęconej gdańskiemu dziedzictwu.

Czytaj str. 8-9

REGION

**Słowiańska mitologia
i misja Hanny Doli**

Niezwykły świat słowiańskich wierzeń i ludowych podań artystka zakłada w grafikach...

Czytaj str. 12-13

Nr ISSN 2353-6160

Nr indeksu 350-028



Człowiek, który wątpił



FOT. KAROLINA MISZTAŁ

Gdy rozmawiamy, mam za sobą dwa pierwsze odcinki serialu. Jedną rzecz zauważyłem od razu: scenarzysta dokładnie przeczytał akta sprawy - mówi Marek Błuś, który jako pierwszy publicznie podważył oficjalną wersję wypadku promu „Jan Heweliusz” **str. 4-6**

REKLAMA

0011409011

PODARUJ RADOŚĆ WYGRYWANIA

DRAPNIJ NAWET 1 000 000 ZŁ

LOTTO
Gdy grasz, wszystko gra!

TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA ● Będzie się działo, czyli premiery i zapowiedzi	PONIEDZIAŁEK ● Najważniejsze informacje sportowe z weekendu	WTOREK ● Strefa biznesu – informacje i analizy gospodarcze	ŚRODA ● Porady zdrowotne – medycyna, psychologia	CZWARTEK ● Coś dla miłośników historii kryminalnych...	PIĄTEK ● Cotygodniowe wydanie magazynu Puls
---	---	--	--	--	---

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 58 728 08 17 lub prenumerata@prasa.gda.pl, prenumerata@dziennikbaltycki.pl

Handel narkotykami przeniósł się do sieci – zarówno do internetu, jak i darknetu

Mira Suchodolska
Rozmowa

Z Michałem Aleksandrowiczem, naczelnikiem Wydziału do Zwalczania Zorganizowanej Przestępczości Nar-kotykowej Centralnego Biu-ra Śledczego Policji

Czy głównym miejscem handlu narkotykami w Polsce jest internet?

Tak, w dużej mierze. Handel detaliczny przeniósł się do sieci – do otwartego internetu i darknetu. Wykorzystywane są też komunikatory, bo umożliwiają szybką wymianę informacji i płatności, np. Telegram. Nie oznacza to jednak, że uliczna sprzedaż zanika. Wciąż istnieje, ale jej udział w rynku spada.

W jaki sposób narkotyki docierają do odbiorców?

Używane są różne formy przesyłki, również automaty paczkowe i usługi kurierskie. Nie ma powodu stygmatyzować konkretnych firm. To po prostu wygodne narzędzia logistyczne. Dla przestępców ważne jest, by pozostać anonimowym.

Coraz popularniejsza metoda sprzedaży polega na tym, że kupujący dostaje od diler-pineskę z miejscem, gdzie są opłacone przez niego narkotyki. Tutaj ręka policji już nie sięga.

Ręka policji sięga wszędzie, żaden przestępca nie może czuć się pewnie. Taki sposób działa-



Michał Aleksandrowicz: – Marihuana często jest doprawiana syntetycznymi kanabinoidami, by zwiększyć jej moc.

ności przestępczej jest znany od lat i również w tych przypadkach sprawcy przestępstw są zatrzymywani.

Jakie substancje dominują na rynku?

W Polsce od lat popularne są stymulanty. Dominują syntetyczne katynony, jak kłefedron i kłofedron. W tym roku zabezpieczyliśmy już ponad 26 ton narkotyków, więcej niż w całym ubiegłym roku, kiedy było ich 21 ton. Wśród zabezpieczeń przeważają właśnie syntetyczne katynony. Są tanie i łatwo dostępne. Efekt działania jest zbliżony do kokainy, ale cena kilkukrotnie niższa. Sprawa to, że są atrakcyjne dla młodych ludzi.

Czy do Polski trafia fentanyl, który pustoszy USA?

Nie obserwujemy epidemii fentanylu. Zabezpieczone ilości to pojedyncze przypadki. Najczęściej niewielkie gramatury po-

chodzące z odzysku z wyrobów medycznych. Nie mamy produkcji nielegalnego fentanylu w takiej skali, jak w Stanach Zjednoczonych czy w Meksyku.

A tzw. polska heroina, czy wciąż jest w obrocie?

Nie, ona praktycznie zniknęła z rynku ponad 20 lat temu. Zastąpiły ją inne opioidy i leki o podobnym działaniu. Rynek poszedł w stronę syntetyków.

Czy marihuana, którą można kupić na ulicy, jest wzmacniana chemicznie?

Tak, niestety. Marihuana często jest doprawiana syntetycznymi kanabinoidami, by zwiększyć jej moc. Użytkownik nie potrafi tego rozpoznać. Zdarza się, że dilerzy przyskają susz lakerem do włosów, żeby lepiej wyglądał. Prowadzi to do zatrucia i poważnych problemów zdrowotnych. Marihuana nie jest niewinna – to narkotyk jak każdy inny, w dodatku jest niejako wstępem do zażywania innych, twardszych środków psychoaktywnych.

Czy zajmujecie się ściganiem handlu grzybkami halucynogennymi lub ich syntetycznymi odpowiednikami?

Nasz wydział koncentruje się na przestępczości zorganizowanej. Jeśli w danej sprawie występuje handel na dużą skalę, wchodzimy w to. Takim rodzajem przestępczości narkotykowej zajmują się regionalne jednostki policji, koordy-

nowane przez Biuro Kryminalne Komendy Głównej Policji. W laboratoriach, po badaniach, widzimy czasami syntetyczne zamienniki substancji naturalnych, np. psylocybiny.

Czy można wskazać typowy profil osoby wchodzącej w zorganizowany świat narkobiznesu?

Nie ma jednego wzorca. To ludzie szukający szybkiego zysku. Często mają doświadczenie kryminalne, ale coraz częściej trafiają tam też osoby młode, które wchodzą w to z pozornie technicznych ról, np. obsługi komunikatorów, płatności, transportu. Te kariery są krótkie i zwykle kończą się więzieniem.

Co może zrobić zwykły obywatel, który widzi na ulicy np. QR-kody reklamujące narkotyki?

Najlepiej zrobić zdjęcie i przekazać informację do najbliższej jednostki policji. Takie zgłoszenia są naprawdę ważne. Policja nie może być wszędzie, dlatego liczymy na społeczną czujność.

Czy zalegalizowanie narkotyków mogłoby ograniczyć czarny rynek?

Nie. Doświadczenia z USA pokazują, że nawet po legalizacji marihuany czarny rynek pozostaje aktywny, bo cena legalnego produktu jest wyższa. Ludzie kupują tam, gdzie taniej. Naszym zadaniem nie jest ocena prawa, tylko jego egzekwowanie.

POGODA NA WEEKEND

Piątek

11°C
3°C



Wiatr pld.
28 km/h

Uwaga
Zamglenia

Sobota

11°C
4°C



Wiatr pld.
20 km/h

Uwaga
Zamglenia

Niedziela

8°C
6°C



Wiatr pld.
15 km/h

Uwaga
Przejściowe zachmurzenia

WAŻNE TELEFONY

800 190 590

– numer infolinii NFZ
dotyczącej postępowania w sytuacji
podejrzenia zakażenia koronawirusem

605 602 195

– telefon alarmowy WSSE: służy do powiadamiania
o nagłych sytuacjach zagrożenia
sanitarno-epidemiologicznego

58 77 63 444

– infolinia w sprawie koronawirusa,
czynna w dni powszednie
od godz. 7.00 do godz. 15.00



FOTOZAGADKA

Kto zgadnie, jaki obiekt widać na fotografii?

Tym razem z powietrza uchwycony został fragment pewnej przydatnej budowli w rejonie Gdańska.

Podpowiemy tylko tyle, że na zdjęciu widać fragment większej całości, która pełni rolę historycznego symbolu.

Tradycyjnie, rozwiązanie zagadki będzie można znaleźć w weekend na naszej stronie internetowej dziennikbaltycki.pl oraz na redakcyjnym Facebooku. (AT)

KURSY WALUT

6.11.2025

Kupno/sprzedaż walut Kantor Green, tel. 58 346 02 48, Wrzeszcz przy Manhattanie, Dmowskiego, Grunwaldzka, Morena Carrefour, Rumia Auchan

EUR	422/429 (+)	GBP	479/486 (+)
USD	366/373 (-)	CHF	453/461 (-)
GBP	479/486 (+)		
CHF	453/461 (-)		

Kantor Max, Gdańsk, ul. Jagiellońska

EUR	422/429 (+)
USD	366/373 (-)
GBP	479/486 (+)
CHF	453/461 (-)

(+) wzrost ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (-) spadek ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (o) bez zmian

DYŻURNY „DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO”

Pracuję w dziale wydarzeń „Dziennika Bałtyckiego” i czekam na Państwa listy pod adresem: andrzej.kowalski@polskapress.pl

Andrzej
Kowalski



POLSKA i ŚWIAT

KRÓTKO

SPOŁECZEŃSTWO

Koniec z papierowym awizo

Koniec z papierowym awizo na Poczcie Polskiej. Od 1 stycznia 2026 roku korespondencja urzędowa, zarówno skierowana do obywateli, jak i do przedsiębiorców będzie kierowana na adres do doręczeń elektronicznych (ADE).

Do tej pory urzędy mogły odstępować od korzystania z e-Doręczeń na przykład z przyczyn technicznych. Taka sytuacja będzie możliwa jedynie do końca 2025 roku.

Podmioty administracji publicznej od nowego roku będą zobowiązane do dostar-

czania urzędowych dokumentów właśnie przez system e-Doręczenia.

- Wprowadzenie e-Doręczeń to nie tylko koniec papierowych awizo, ale też początek jednolitego systemu komunikacji - opartego na nowoczesnych technologiach - powiedział wiceminister cyfryzacji Dariusz Standerski, cytowany w komunikacie.

Poczta Polska przypomina, że na specjalnej stronie internetowej można łatwo i szybko założyć skrzynkę do elektronicznych doręczeń.

ŚWIĘTA

Warszawa już stroi się na święta



FOT. ALEKSY WITKICKI

Warszawa rozpoczęła przygotowania do świąt. Na Starym Mieście pojawiły się pierwsze ozdoby. Na razie jeszcze nie świecą i nie wszystkie stoją w swoich docelowych miejscach. A już 28 listopada plac Defilad zamieni się w bajkowe miasteczko. Tego dnia ruszy Jarmark Warszawski.

PRZESTĘPCZOŚĆ

Wielki Bu trafił do Polski

Prokuratura Krajowa przekazała na platformie X, że Patryk M. ps. Wielki Bu został przekazany stronie polskiej przez władze niemieckie na podstawie europejskiego nakazu aresztowania.

„Czynności z jego udziałem, w tym ogłoszenie zarzutów i przesłuchanie w charakterze podejrzanego, zostaną przeprowadzone w przy-

szłym tygodniu przez prokuratora z lubelskiego wydziału PZ PK” - zaznaczyła.

Patryk M. został zatrzymany 12 września na lotnisku w Hamburgu. Mężczyzna był poszukiwany do śledztwa prowadzonego przez PK w Lublinie. Dotyczy ono zorganizowanej grupy przestępczej zajmującej się handlem i przemytem narkotyków. PAP

PRAWO

W czwartek zaprezentowany został projekt mający zmienić przepisy o Krajowej Radzie Sądownictwa. Jak powiedział minister Żurek, każda osoba będąca sędzią w stanie czynnym ma mieć prawo głosu w wyborach sędziowskich członków KRS. - Wybory stają się powszechne dla sędziów, to jest zupełne novum i wybory organizuje PKW, która weryfikuje zgłoszenia kandydatów i organizuje wysłuchania publiczne - podkreślił.

”

Ta ustawa jest kolejnym krokiem do tego, żebyśmy mieli dzisiaj silne państwo. Mam nadzieję, że będzie to ustawa przełomowa

Waldemar Żurek minister sprawiedliwości

W piątek Sejm może odebrać immunitet byłemu ministrowi

Dorota Kowalska
Warszawa

Wszystko wskazuje na to, że w piątek Sejm odbierze immunitet Zbigniewowi Ziobrze.

Ten tydzień bezapelacyjnie należał do Zbigniewa Ziobry. Był minister sprawiedliwości królował w mediach. Wszystko za sprawą wniosku, jaki prokuratura złożyła do Sejmu. Chodzi o uchylenie Ziobrze immunitetu, wniosek dotyczy również zgody na zatrzymanie go i tymczasowe aresztowanie. Śledczy postawili Ziobrze 26 zarzutów, w tym zarzut założenia i kierowania zorganizowaną grupą przestępcą.

Zdaniem śledczych były minister sprawiedliwości wskazywał podwładnym, kto ma wygrać niektóre konkursy na pieniądze z Funduszu Sprawiedliwości, zanim jeszcze te konkursy zostały ogłoszone. Trzeba było jednak zachować pozory, więc ustalenia przez Ziobrę zwycięzcy przygotowywali oferty konkursowe. Jak twierdzi prokuratura, nawet urzędnicy niższego szczebla musieli pilnować, „aby konkurs przebiegł zgodnie z oczekiwaniami kierownictwa resortu sprawiedliwości”.

Problem w tym, że Ziobro, kiedy śledczy składali wniosek w Sejmie, przebywał w Budapeszcie. Spotkał się tam między innymi z Wiktorem Orbanem. Obaj panowie bez pardonowo atakowali polski rząd i Donalda



FOT. ADAM JANKOWSKI

Zbigniew Ziobro w tym tygodniu spotkał się z Wiktorem Orbanem. Ale o azyl - na razie - nie poprosił

Tuska. I choć były już minister sprawiedliwości zarzeka się, że nie będzie się starał o azyl polityczny, to wciąż nie wiadomo, gdzie jest i czy wróci do kraju.

Może stąd podczas wtorkowego posiedzenia Rady Ministrów premier Donald Tusk zwrócił się bezpośrednio z apelem do Zbigniewa Ziobry. - Jestem przekonany, że nie chce pan przejść do historii jako „fujara” czy „miększon” i stawia się pan przed wymiarem sprawiedliwości - powiedział. I podkreślił, że zarzuty, które stawiane są Ziobrze, brzmią poważnie. - Ucieczka czy szukanie azylu

na Białorusi jak jeden pana kolega, czy na Węgrzech jak drugi pana kolega stawia pana w bardzo złym świetle - mówił premier. - W związku z tym mam nadzieję, że niedługo się w Polsce zobaczymy, jak sam pan mówił, uczciwi nie mają się czego bać - podkreślił.

Sam Ziobro nie składa broni. Razem z byłym swoim zastępcą w resorcie sprawiedliwości, posłem PiS Marcinem Warcholem, przekonuje, że szef zespołu śledczego nr 2 prok. Piotr Woźniak, który podpisał się pod wnioskiem o uchylenie immunitetu, „przywłaszczył sobie funkcję”

prokuratora krajowego i działał w celu osiągnięcia korzyści osobistej. Politycy Prawa i Sprawiedliwości oficjalnie stają w obronie swojego partyjnego kolegi. We wtorek 4 listopada dziennikarze pytali Jarosława Kaczyńskiego, czy Ziobro powinien wrócić do kraju.

- Żeby go w istocie zamordowano? - odpowiadał pytaniem. - Jeżeli ktoś bardzo ciężko chory, kto wymaga stałej, bardzo poważnej opieki lekarskiej jest umieszczany w więzieniu, to jest równoznaczne z wyrokiem śmierci - stwierdził Kaczyński, nawiązując do choroby nowotworowej, którą przeszedł Zbigniew Ziobro.

Jeśli Sejm zdecyduje o odebraniu immunitetu Zbigniewowi Ziobrze, ten dołączy do swoich dawnych podwładnych w ministerstwie sprawiedliwości, czyli do Marcina Romanowskiego i Michała Wosia, którzy usłyszeli już zarzuty w związku z nieprawidłowościami związanymi z wydatkowaniem pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości.

Kwestia rozliczenia rządów PiS była bardzo mocno podnoszona przez koalicję 15 października, tak w trakcie kampanii wyborczej, jak w ciągu dwóch lat jej rządów. Szef MS Waldemar Żurek nie ukrywa, że przywrócenie w Polsce praworządności to dla niego priorytet. Reformę wymiaru sprawiedliwości przeprowadzał Zbigniew Ziobro i to on dzielił pieniądze, którymi dysponował jego resort.

Rusza program dobrowolnych szkoleń wojskowych. Ministerstwo Obrony Narodowej podało szczegóły

Adam Kielar
Warszawa

Rusza pilotaż programu powszechnych szkoleń obronnych „wGotowości”, który rozpocznie się 22 listopada - zapowiedział w minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz.

Szef MON poinformował, że program ma się składać z kilku modułów i dotyczyć „wszystkich obywateli polskich, któ-

rzy będą chcieli z tego skorzystać”.

Na ten moment program ma być realizowany przez 132 jednostki oparte w głównej mierze na Wojskach Obrony Terytorialnej z udziałem Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Kosiniak-Kamysz zapewnił, że są w stanie przeszkolić w tym roku kilkanaście tysięcy osób, a program osiągnie pełną gotowość na początku przyszłego roku.

- Bezpieczeństwo Polski zależy od silnej armii, silnych so-

juszy i siły nas samych, siły naszego społeczeństwa. Wiedza, informacja, umiejętność zachowania się, odczytania sygnałów, znaków, alarmów, miejsc ukrycia jest bardzo potrzebna. To często jest działanie pozamilitarne, ale budujące obronę narodową - podkreślił.

Szef MON przekazał, że program powszechnych szkoleń obronnych „wGotowości” przygotowywany był od 6 miesięcy. Podkreślił, że zgłoszeń na szkolenie można dokony-

wać poprzez aplikację mObywatel. Podziękował również resortowi cyfryzacji za współpracę.

Wiceminister Cezary Tomczyk wskazał, że program zakłada dwie ścieżki: odporności i rezerwy. Przekazał też, że w czwartek w aplikacji mObywatel uruchomiono nową usługę, dzięki której pełnoletni obywatele RP mogą zapisać się na szkolenie obronne w jednostce wojskowej w swojej miejscowości lub w jej pobliżu. PAP

DEBATA

Spór wokół Güntera Grassa. Decyzja władz Gdańska o połączeniu dwóch miejskich instytucji - Gdańskiej Galerii Miejskiej (GGM) i Centrum Sztuki Współczesnej Łaźnia - stała się punktem zapalnym w debacie o gdańskiej kulturze i pamięci. W jej cieniu rozgrywa się spór o upamiętnienie Güntera Grassa w przestrzeni miejskiej
STR. 8-9



FOT. TOMASZ BOŁT

ROZMOWA

Z Beata Maciejewską o polityce i jej książce
Prokuratura oczyściła mnie z zarzutów, ale po wydaniu tej książki nikt z Nowej Lewicy do mnie nie zadzwonił - mówi Beata Maciejewska, była pomorska posłanka **STR. 16-17**

JESZCZE WSZYSCY BĘDZIEMY SIĘ WSTYDZIĆ - MÓWI JEDYNY SKAZANY ZA KATASTROFĘ „HEWELIUSZA”

Marek Błuś był marynarzem na „Sołdku”, potem kapitanem i ekspertem od katastrof morskich. Po latach został dziennikarzem i jako pierwszy publicznie podważył oficjalną wersję wypadku promu „Jan Heweliusz”. Został za to skazany. Po latach docenił go Netflix

Marek Sterlingow

Kiedy postanowił pan zostać marynarzem?

Miałem sześć lat. Dzieciństwo spędziłem w Szczecinie. Widok statków - zwłaszcza łodolamaczy stojących przy Wałach Chrobrego - robił na mnie ogromne wrażenie. Czekaliśmy na zamarznięcie zalewu, gotowe do akcji. Jeździłem tam z ojcem tramwajem. Do tego łódki z kory, które robiliśmy z ojcem, Tata wówczas żeglował. Umiął wszystko zrobić - dorabiał metalowe kile z puszek, żagle, tłumaczył zasady stateczności. Tak zaczęła się moja fascynacja morzem.

Kiedy pan ją ukończył szkołę morską?

W 1970 roku.

Slogan tamtych czasów: żeby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej.

Zaczynała się epoka Edwarda Gierka. Lata 70. były dobrym czasem także dla naszej żeglugi. Choć rozpoczynała się już rewolucja kontenerowa. Kontenery wypierały tradycyjne statki drobnicowe. W Polsce długo tego nie rozumiano. Na zajęciach w szkole mówiono nam, że to „ślepa uliczka”. Dawniej statek potrafił stać w porcie dwa tygodnie, robotnicy wybierali węgiel łopatami, a marynarze zwiedzali miasta i bary. To się właśnie kończyło. Kontenery,

taśmowce, wielkie dźwigi do masówek - to wszystko radykalnie podniosło sprawność portów.

Pamięta pan swój pierwszy rejs?

Dostałem dość osobliwy przydział. Na jeden miesiąc trafiłem na „Sołdkę”.

Tego historycznego „Sołdka”? Pierwszy statek

zbudowany w Polsce po II wojnie światowej?

Tak, to ten - dziś stoi na Motławie w Gdańsku jako muzeum. Zostałem tam szeregowym marynarzem. Władze doszły wtedy do wniosku, że jest za dużo oficerów i trzeba spowolnić awanse. „Sołdek” pływał z węglem do Danii, do elektrowni. Z powrotem wracał pusty. W Szczecinie stawał na kilka

godzin. Czasem nawet nie opłacało się iść do domu.

„Sołdek” był już chyba uznawany za antyk?

Cóż, to był przecież parowiec. One już powoli odchodziły.

Palące ręcznie wrzucali węgiel do kotła?

Tak, szuflami. Żadnych automatycznych podajników.

Jak wyglądał pana dzień pracy?

Miałem wspólną kabinę z młodszym marynarzem. Wachta dzienna, wachta nocna, a między nimi osiem godzin wolnego przerywanego cumowaniem, odcumowaniem. Wystarczało na sen, posiłek, trochę odpoczynku. Czasu było sporo - nie trzeba było dojeżdżać, stać w korytarzach, odprowadzać dzieci.

To co robiliście?

Ja zawsze lubiłem czytać. Ciekawiła mnie prasa. Jak miałem 12 lat, to wydałem swoją pierwszą gazetkę klasową. Od 3. klasy kupowałem miesięcznik „Morze”, z czasem stałem się namiętnym czytelnikiem takiego dziwnego periodyku: „Orzecznictwo Izby Morskiej”. Rozczytywałem się w nim. U nas w domu było dużo książek. Mój wujek, niedoszły prawnik też miał bogatą bibliotekę. Grzebiąc po tych półkach zacząłem interesować się prawem. Pierwszą książkę, jaką u niego przeczytałem, to było chyba „Prawo Rzymskie”.

Studenci prawa umierają przy tym z nudów.

A mi te skłonności się przydały w pracy i w życiu. Zawsze byli jacyś koledzy, znajomi, którzy potrzebowali pomocy, bo mieli jakiś spór z pracodawcą i czuli się skrzywdzeni, zastanawiali się gdzie szukać adwokata. Każdemu mówiłem: spokojnie, ja ci napiszę pozew czy podanie.

Oj, kierownictwa nie lubią takich gości. Czyli na pokładzie statku się pan nie nudził.
Nawet na statkach prowadziłem bibliotekę.

Biblioteki?



FOT. JAKOLINA MISZAL

Marek Błuś, kapitan żeglugi wielkiej, dziennikarz i publicysta

Państwo miało ambicję „ukulturalniania” załóg. Istniał Morski Ośrodek Kultury. Przed rejssem przyjeżdżał go-niec i przywoził 150-300 książek. Czasem biblioteki fundowały zakłady pracy - kopalnie, fabryki, małe mia-sta.

Każdy statek miał bibliotekę?

Na tych, na których pływa-łem - tak. Ale czasami robił się bałagan. Bibliotekarz na statku to funkcja czysto społeczna. Nie zawsze taka osoba się znajdowała. Zazwy-czaj kto pierwszy przyjeżdżał na statek, ten chował sobie wybrane książki do kabiny. I czasami były tam cały rejs. Ja starałem się pilnować, żeby do książek mieli dostęp wszyscy. Dużo dodatkowych zajęć. Ale dzięki temu wiele osób we flocie mnie znało. Organizator czasu wolnego był lubiany. Często było go aż za dużo.

Fajna praca.

Dopóki coś się nie popsło, ale to uderzało przede wszystkim w personel maszyny. Załogi były więc za duże, szczególnie na nowych statkach. Stare po-trzebowały rąk do tych wiecz-nych napraw, nowe mogłyby pływać z mniejszą liczbą lu-dzi. Ale system tego nie prze-widywał, więc też były zatło-czone.

Dokąd jeszcze pan pływał?

Do Japonii z jednym bunkro-waniem na rejs do Singapu-rze. I to był pierwszy szok nowoczesności. Pięćdziesiąt tysięcy ton węgla rozłado-wano w półtora dnia i koniec postoju. Potem do Australii po rudę, załadunek w 12 go-dzin. Dobrze, jak udało się na chwilę wyjść do miasta, zrobić jakieś zakupy.

Polska była wtedy potęgą morską?

Może nie potęgą, choć czyta-jąc ówczesne gazety można było odnieść takie wrażenie. Ale to był nasz najlepszy mo-ment. Polskie Linie Oce-aniczne miały prawie dwie-ście statków. Inni armatorzy - kolejne setki. W tym wielka flota dalekomorskich statków rybackich. Nieporównywalne z dzisiejszą skalą.

Jak rozwijała się pana kariera?

Najpierw starszy marynarz, potem asystent pokładowy, czwarty oficer. Ale ta droga była sztucznie wydłużana. Przez jakiś czas miałem zakaz awansu.

Za co?

Najczęściej degradowano za alkohol. Ale ja za politykę. Były dwa „wykroczenia”: opo-zycja wobec systemu albo re-wizjonizm. Często byłem kry-tyczny wobec przełożonych, więc uznano mnie za rewizjo-nistę.



Prom „Jan Heweliusz” - zdjęcie wykonano w roku 1986

Czyli tego co krytykuje je-dyną słuszną linię partii i cią-gle usiłuje coś naprawić. To pisanie podań dla kolegów też chyba panu nie pomagało?

Ale mnie za to koledzy szano-wali. W latach 70. zostałem delegatem na ostatni kongres związków zawodowych PRL. W tak zwanych wielkich za-kładach wybory były bezpo-srednie i w miarę demokra-tyczne, głosowanie tajne.

Przełożeni zastanawiali się pewnie co z takim niepokor-nym zrobić?

Zrozumiałem, że ta moja ka-riera to pułapka. Że muszę odejść z PŻM-u. Powiedzia-łem, że chcę przeprowadzić się do Gdańska. Tłumaczyłem to sprawami rodzinnymi. Miałem plan: zmieniać przedsię-biorstwa, zbierać doświadcze-nie. Trafiłem do Przedsiębior-stwa Robót Czerpalnych i Pod-wodnych. Pływałem na sza-landach motorowych. Ale cza-sami zdarzały się też zlecenia zagraniczne.

Szalandach - czyli barkach na które ładuje się na morzu piach z pogłębiarek?

To było może mniej roman-tyczne niż pływanie po peł-nym morzu. Zazwyczaj brzeg był w zasięgu wzroku.

Kim pan tam był?

Szyprem, zgodnie z ówczesną nomenklaturą kierownikiem statku. Szyper miał status ro-botniczy. Wymagana była ma-tura.

Gdzie jeszcze pan pracował?

Potem przeszedłem do portu. Pracowałem tam jakiś czas, między innymi na holowni-kach. Tam też się udzielałem. Gdy mnie w tym porcie mieli już dosyć, to „sprzedali” mnie do Urzędu Morskiego, tam za-darłem z dyrektorem. Posta-nowił mnie ukarać. I tą karą wedle niego było przenosze-nie mnie między stanowi-skami. Co trzy miesiące. Nie-chcący spełnił moje marzenie. Zawsze chciałem poznać że-glugę z różnych perspektyw, także z wieży kapitanatu. No a potem się zrobił 1989 rok,

można było kupić paszport i pracować u armatorów za-granicznych. Nie musiałem prosić nikogo o łaskę i zaczą-łem pływać na saksy. Pojecha-łem na długi kontrakt, bez za-wijania do polskich portów. Jak wróciłem, patrzę, jest wol-ność słowa. To zacząłem szu-kać pracy w mediach.

Tam nie płacili tak dobrze jak na statkach.

Wróciłem z kontraktu, miałem pieniądze i relatywnie dużo czasu. Nie musiałem ja-kos szukać roboty na siłę. Do Urzędu już nie chciałem wracać, chociaż miałem drogę otwartą.

Zaczął pan pisać. Gdzie?

Przez chwilę byłem nawet współpracownikiem „Dzien-nika Bałtyckiego”. Sam się do redakcji zgłosiłem z tek-stem o nietypowym statku, który stał niedaleko Skweru Kościuszki. Podśledzałem rozmowę turystów, którzy się zastanawiali, co to za statek.

Co w nim było takiego dziw-nego?

To był prom-lodołamacz z Ka-nady, który tam jakąś zama-rzającą cieśninę obsługiwał, w związku z tym tak dziwnie wyglądał. Przyniosłem to Adamowi Grzybowskiemu. On był zastępcą ówczesnego naczelnego. Powiedziałem, że kiedyś gazety miały reporte-rów, którzy włóczyli się po porcie. Pisali w latach 30. i 40. takie teksty, o tym co tam się dzieje, co ciekawego przy-płynęło, co było załadowy-wane, rozładowywane. Grzy-bowski to kupił.

Potem przeszedł pan do Ga-zety Morskiej, lokalnego do-datku do Gazety Wyborczej.

ZROZUMIAŁEM, ŻE TA MOJA KARIERA TO PUŁAPKA. ŻE MUSZĘ ODEJŚĆ Z PŻM-U. POWIEDZIAŁEM, ŻE CHCĘ PRZEPROWADZIĆ SIĘ DO GDAŃSKA

To była wtedy nowa gazeta, byli gotowi spełnić moje plany: pozwolili mi stworzyć dział poświęcony morzu. Po-magała mi między innymi morska publicystka Grażyna Murawska i tak powstała cała kolumna pod tytułem „Ga-zeta Morska i Żegluga”, potem dwie kolumny. Za-częło się to jakoś turlać. Li-czyłem, że uda mi się odro-dzić ogólnopolski tygodnik morski z prawdziwego zda-rzenia, który będzie dodat-kiem do lokalnych dodatków „Gazety Wyborczej” wzdłuż całego wybrzeża. Ale nie zna-lażem partnerów ani sojusz-ników. Przez jakiś czas sam robiłem takie pismo zawo-dowe. Nazywało się „Azy-mut”.

Z publicystyki trudno wyżyć.

Poszedłem znów do szkół, tym razem uczyć. Nieznany mi wcześniej Marek Piele-chaty zaprosił mnie do Ośrodka Szkolenia Ratow-niczego, uznając na postawie moich tekstów, że się przy-dam. Tam dla marynarzy od-bywały się szkolenia z samo-ratowania się i ratowania in-nych. Szkoliliśmy teoretyczne i praktyczne. Basen, pas ra-tunkowy, skoki do wody, tra-twa ratunkowa i tak dalej. By-łem tam trochę wykładowcą, trochę instruktorem. Proble-mem w tej edukacji jest defi-cyt casusów dotyczących wie-dzy o losie pojedynczego roz-bitka. Każdy inaczej się ratuje i płyną z tego inne nauki. Każdy ma inne przygody w drodze z kabiny do łodzi lub tratwy i dalej na wodę. W cza-sach przed internetem trzeba było więc szperać po bibliote-kach.

A co z pływaniem?

Pływałem w kratkę. Od czasu do czasu brałem wolne i ru-szałem na kontrakt. Na jed-nym z takich wyjazdów za-stała mnie katastrofa „Hewe-liusza”.

To był styczeń 1993 roku. Wrócił pan z morza i...

Poszedłem najpierw do bi-blioteki i przeczytałem wszystko co ukazało się w prasie. Czytałem o zmasa-krowanych zwłokach i zasta-nawiałem się, co tam się wła-ściwie wydarzyło. Dokąd pły-nał prom, na północ, czy na południe, jak pisał Krzysz-tof Leski. Dlaczego liczba od-nalezionych ofiar zmalała z 41 do 38? Po jakie лихо w Niem-czech ten spęd ministrów od spraw wewnętrznych? Co to za narady szefa UOP-u z po-słami? Co, żeby nie składali zapytań albo interpelacji w sprawie Heweliusza?

Ale sama katastrofa? W końcu statki są po to, żeby pływać nawet w czasie sztormu. A tu ginie 55 osób i ratuje się tylko dziewięć.

Miałem własne zdanie o „Heweliuszu”, jeszcze z wcześniejszych czasów. In-teresowałem się przecież statkami od dziecka - zbiera-łem plany modelarskie, poczt-ówki ze zdjęciami Ukłejew-skiego, potem poznałem teo-rię, liczyłem stateczność. Nie ja jeden to wiedziałem, na przykład piloci portowi w Świnoujściu też wiedzieli, że statek jest niestateczny: „To się kiedyś przewróci. Przy 4 metrach zanurzenia i 20 metrach nadbudówki - to musi się stać.” Zacząłem czuć, że wokół tej historii dzieje się coś poważnego, że ktoś usiłuje tuszować prawdę.

Relacjonował pan postępowa-nia przed Izłą Morską?

Na pierwsze rozprawy po ka-tastrofie pojechała Grażyna Murawska. Na kolejną turę pojechałem i ja. Miałem wię-cej czasu, zrezygnowałem z etatu i codziennych obo-wiązków redakcyjnych i zo-stałem wolnym strzelcem.

Coś zwróciło na tej rozprawie pana uwagę?

Zrozumiałem, że uczestniczę w aferze. Napisałem wtedy re-portaż „Szczecińska Izba-gate”. Od tego momentu za-cząłem śledzić wszystko na bieżąco - jeździłem do oca-łych marynarzy i rodzin ofiar.

Gdzie pan drukował teksty?

Gdzie się dało. Czasem to były zamówienia redakcji, czasem sam proponowałem. Miałem wrażenie, że publikowano mnie coraz mniej chętnie.

Głośny był tekst „Zatonął w morzu kłamstwa”, który ukazał się w tygodniku „Prze-gląd”.

Potem przedrukowały go „Ży-cie Warszawy” i „Angora”, oni mieli wtedy ponad pół mi-liona czytelników.

Kto był zainteresowany wyci-szeniem sprawy?

Przede wszystkim armatorzy. To zresztą zupełnie typowe, tak to po prostu działa branża. Armatorzy po katastrofach często próbują nakłonić ludzi do wygodnych dla nich ze-znań. Po pierwsze sami chcą dostać odszkodowanie casco, po drugie - nie chcą płacić z ty-tułu odpowiedzialności cywil-nej. To wiedza ze szkół mor-skiej - pamiętam z 3. roku: „jak przeżyjecie wypadek, to na pewno przyjdzie armator i zaproponuje >>handel winą<<: jak pan się przyzna do tego, co wymyślimy, to w nagrodę placówka w Bu-enos Aires. Angielskiemu ar-matorowi możecie uwierzyć, polskiemu - nigdy”.

Nie jest to żadna teoria spi-skowa?

W żegludze, bardziej niż w lot-nictwie, jak wydarzy się kata-strofa, to armator, ubezpie-czyciel, państwo, każdy ma interes w tym, żeby przyjąć wygodną wersję wydarzeń. Tego nie ma w podręcznikach, ale na wykładach - owszem.

Byli też świadkowie, którzy nie chcieli mówić prawdy?

Na przykład kapitan Józef Ko-chmański z „Nieborowa”. Od-mówił składania zeznań. Jak go telefonicznie odnalazłem, powiedział: „Może słowa przy-niosłyby wielką szkodę ban-derze polskiej.” Inny przykład: oficer operacyjny ratownic-twa Marynarki Wojennej ze-znawał o przebiegu akcji. Ale wyszło, że w najważniejszym momencie spał. Drugiego dy-żurującego wówczas oficera nie wezwano, bo podobno wcześniej odmówił składania nieprawdziwych zeznań.

Czyli proces był prowadzony tak, żeby wyszło, że winny jest kapitan.

Dokończenie na str. 6

JESZCZE WSZYSCY BĘDZIEMY SIĘ WSTYDZIĆ - MÓWI JEDYNY SKAZANY ZA KATASTROFĘ „HEWELIUSZA”

Dokończenie ze str. 5

Tak. Orzeczenia izb morskich nie mają tzw. powagi rzeczy osądzonej, czyli dla sądów i ubezpieczycieli są tylko czymś w rodzaju opinii biegłych. Ale branża ubezpieczeń morskich nie chodzi po sądach. Wszystko uciera się w negocjacjach, ewentualnie w arbitrażu. Jeśli armator zawinił, nie dostanie ani grosza. Jeśli winny jest kapitan - ubezpieczyciel płaci. Dlatego tych zarzutów wobec kapitana było w Szczecinie dwanaście, w Gdyni trzy, w Izbie Odwoławczej już tylko dwa.

Rodziny marynarzy nie protestowały?

Rodziny ofiar działały chaotycznie. W Szczecinie pani Ułasiewicz wzięła za pełnomocnika zaufanego kapitana armatora. Kogo tak naprawdę reprezentował? Inne rodziny też nie miały wsparcia, nikt im nie doradzał, nie tłumaczył procedur. Adwokaci byli dziwnie bierni. Poszedłem nawet do jednego z mecenasów i zapytałem, dlaczego nie składał wniosków dowodowych np. o przesłuchanie byłych kapitanów tego statku? Wyrzucił mnie z kancelarii. Więc zacząłem działać inaczej. Namówiłem wdowy, żeby założyły stowarzyszenie. Pomagałem im, ale nie proponowałem, że zostanę pełnomocnikiem, do czego miałem prawo. Nie chciałem rezygnować z roli reportera. No i postanowiłem przeczytać całe akta izb morskich, ale to stało się możliwe dopiero po procesie w Gdyni.

To była chyba robota na kilka miesięcy?

Zajęło mi to dwa tygodnie, po 6-7 godzin dziennie. Szybko, bo wcześniej poznałem akta Państwowej Inspekcji Pracy, które częściowo pokrywały się z izbowymi, bo wymieniano się kopiami. Potem „doczytałem” jeszcze akta prokuratury.

Ktoś panu za to zapłacił?

Nikt. Robiłem to żeby ustalić fakty. Powiedzmy, że było to moje hobby.

Co pan odkrył?

Przed wszystkim taśmę magnetofonową z niemieckiej stacji Rügen Radio. Po prostu w aktach była notatka służbowa o jej nadesłaniu i fragment instrukcji obsługi magnetofonu, takiego, jakiego używały służby nasłuchowe. To oznaczało, że taśmy były, ale nie odsłuchane. Nagrano je na specjalistyczny sprzęt produkcji węgierskiej. Węgrzy produkowali takie magnetofony dla całego



Wystawa w Narodowym Muzeum Morskim w Gdańsku w 30. rocznicę tragedii



Na ekspozycji zgromadzono przedmioty codziennego użytku pochodzące z promu



Do Muzeum pamiątki przekazał jeden z ocalałych, Grzegorz Sudwoj, drugi elektryk

bloku wschodniego. Były to wielkie szafy ze szpulami do nagrywania 24 godziny na dobę. Instalowano w takich miejscach, jak straż pożarna czy kontrola ruchu lotniczego.

Odsłuchał je pan?

Powoli, nie tak szybko. Najpierw poprosiłem sędziego, żeby pokazał mi tę taśmę. Pierwsze co zobaczyłem, to że jest przecięta w połowie

i nawinięta na dwie szpule. Sędzia mi wtedy wyznał, że to on zrobił, bo chciał to odsłuchać na swoim domowym magnetofonie. Ale nie zadziałało i się poddał. Widać, że go paliła ciekawość, tylko sobie z tym nie poradził.

A pan znalazł sposób?

Znalazłem ten węgierski magnetofon w pogotowiu ratunkowym na Zaspie. Przedtem

sprawdziłem straż pożarną i lotnisko. To jest długa historia. Ale w końcu miałem to na kasecie i odsłuchałem w domu. Z pięćdziesiąt razy co najmniej. Dużo szumów, zresztą to była kopia, i jak się później okazało, ktoś próbował ją wybiórco kasować. Miałem trudności z językiem niemieckim, znalazłem kogoś, kto mi pomógł. Transkryptałem sędziemu i dwóm ław-

ORZECZENIA IZB MORSKICH NIE MAJĄ POWAGI RZECZY OSĄDZONEJ, CZYLI DLA SĄDÓW I UBEZPIECZYCIELI SĄ TYLKO CZYMŚ W RODZAJU OPINII BIEGŁYCH

nikom. A potem napisałem tekst pod tytułem „Taśmy prawdy”. Poszło to w „Głosie Wybrzeża” w dwóch odcinkach.

A co takiego ciekawego było na tych taśmach? Zwłaszcza, że były zatarte?

Częściowo, głównie chodziło o usunięcie komunikatów Ułasiewicza z prawidłową pozycją. Natomiast nie zatarto informacji, że obok „Heweliusza” był drugi statek. Czyli są bezpośredni świadkowie. Ponieważ ten statek przedstawia się, koresponduje ze stacją brzegową Rügen Radio, podaje swoją nazwę, nadaje Mayday Relay i swoją pozycję. Znajdował się wtedy tuż przy Heweliuszu.

Jakie to ma znaczenie?

Bo są świadkowie, którzy widzieli cały wypadek i mogą o nim opowiedzieć. Wystarczyło ich przesłuchać i okazałoby się, że przebieg zdarzeń był inny, niż ustaliły izby morskie. Ponadto pojawia się statek, który można podejrzewać o zadanie ran rozbitkom a może już tylko ich zwłokom, co ukrywano.

Co się wydarzyło po publikacji pana tekstu?

Zaczęto mnie ścigać za zniesławienie.

Kto?

Przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości, osoby z sądu i prokuratury, które uznały, że naruszam ich dobre imię. Bo napisałem, że „zachowywali urzędowe milczenie w sprawie źródła dowodu”, ale użyłem słowa „ukrywać”. Mamy taki dziennikarski kodeks w postaci „zasad Orwella”. Zasada piąta mówi, że nie wolno nam używać makaronizmów, języka naukowego i zawodowego żargonu, jeśli znamy odpowiedniki z języka potocznego. Od pani asesora dowiedziałem się, że sędzia ukrywał dowody tylko wtedy, gdy je wynosił z sądu.

Dlaczego pozwali pana do sądu w Pile, a nie w Gdańsku lub Szczecinie? Złośliwość?

Nie, podejrzewam, że chodziło o to, żeby dziennikarzy nie było na sprawie. A rozpraw było kilka, co miesiąc.

No tak, kto będzie jeździł na rozprawę do Pily?

Tam w ogóle było trudno dojechać. To był okres, że nie było bezpośredniego pociągu ani z Warszawy, ani z Gdańska. Ja musiałem przez Tczew jeździć.

I został pan skazany.

Tak. Musiałem zapłacić m.in. tysiąc pięćset złotych na PCK, koszty procesu i przeprosić zniesławionych. A jak nie przeproszę, to dodatkowe 3,5 tysiąca złotych grzywny. Razem chyba dziewięć tysięcy.

Przeprosił pan?

Nie. Miałem wtedy finansowy dołek, ale wolałem zapłacić niż przeproszać. Poprosiłem o rozłożenie tego na raty i jakoś z pomocą znajomych to spłaciłem. To chyba po tym wyroku w Kurierze Szczecińskim ukazało się oświadczenie wdów. Napisała je żona starszego oficera pani Janicka. Pamiętam, ostatnie zdanie: „Jeszcze wszyscy będziemy się wstydzili”.

Czyli jest pan jedynym skazanym i ukaranym za wypadek promu „Heweliusz”?

Na to wychodzi.

W 2005 roku, po apelacji wdów orzeczenia Izby Morskiej zostały ocenione przez Europejski Trybunał Praw Człowieka. Według Trybunału, izby morskie nie były sądami niezawisłymi i bezstronnymi. A co z Panem?

Moja skarga została odrzucona po pięciu latach oczekiwania, bo nie złożyłem w Polsce skargi konstytucyjnej, choć nie musiałem. Skarzyłem procedurę a nie ustawę. Ale przez te pięć lat zmienił się tam sposób procedowania pod naciskiem lawiny skarg z Rosji.

Oglądał pan serial o „Heweliuszu” na Netflixie?

Gdy rozmawiamy, tylko dwa pierwsze odcinki na premierze. Jedną rzecz zauważyłem od razu: scenarzysta Kasper Bajon dokładnie przeczytał akta sprawy. Są tam oczywiście całkowicie zmyślone wątki fabularne, ale wygląda na to, że wątki dotyczące statku, katastrofy i spisku przeciwko Ułasiewiczowi są pokazane bardzo realistycznie.



ENERGIA JUTRA ZACZYNA SIĘ DZIŚ

**Bezpieczeństwo zapewnimy
poprzez własne źródła i gaz LNG
dostarczany naszymi gazowcami.
Energia elektryczna powstanie
w budowanych przez nas
elektrowniach gazowych.**

W SPORZE WOKÓŁ GÜNTERA GRASSA CHODZI O PAMIĘĆ MIASTA O SOBIE SAMYM

Decyzja władz Gdańska o połączeniu dwóch miejskich instytucji - Gdańskiej Galerii Miejskiej (GGM) i Centrum Sztuki Współczesnej Łaźnia - stała się punktem zapalnym w debacie o gdańskiej kulturze i pamięci. W jej cieniu rozgrywa się spór o upamiętnienie Güntera Grassa w przestrzeni miejskiej

Maja Czech, Martyna Kucybała

Nie pojmuję, czemu i komu służyć ma procedowana decyzja - mówi nam Miłostawa Borzyszkowska-Szewczyk, profesor Uniwersytetu Gdańskiego, prezeska Stowarzyszenia Güntera Grassa oraz członkini Rady Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. Jej główny zarzut dotyczy nie tyle samej idei zmian, ile sposobu ich przeprowadzenia. Jak wskazuje, przez półtora roku nie działała Rada Kultury Gdańskiej, a plan połączenia GGM i Łaźni nie został poddany pod dyskusję poprzedniej Rady, której była członkinią, ani obecnej przed rozpoczęciem wdrażania planu. W efekcie, jak mówi, o tak istotnej decyzji środowisko artystyczne dowiedziało się po fakcie.

Zamiast społecznego dialogu - narastają frustracja i niepewność. Pracownicy instytucji, jak zauważa Borzyszkowska-Szewczyk, „funkcjonują w zawieszeniu”, obawiają się o miejsca pracy, a „energia środowiska pochłaniana jest przez kwestię zmian, zamiast przez tworzenie nowych wartości kulturalnych”.

Ratusz mówi „nie”, ale mało kto ma wątpliwości

Największe emocje budzi likwidacja Gdańskiej Galerii Güntera Grassa - oddziału GGM. Zmiana ta, w ocenie Borzyszkowskiej-Szewczyk, oznacza symboliczne „wymazanie” Grassa z miejskiej mapy kultury. Zniknięcie jego nazwiska z oficjalnych patronatów - po wcześniejszym usunięciu w 2023 roku zapisu o Domu Chodowieckiego i Grassa ze statutu GGM - jest dla niej sygnałem, że Gdańsk dokonuje przewartościowania pamięci i osób związanych z gdańską kulturą.

O tę sytuację zapytaliśmy Miasto Gdańsk. W odpowiedzi Ratusz broni decyzji o likwidacji, tłumacząc, że nie chodzi o rezygnację z dziedzictwa Grassa, lecz o jego „redefini-

cję”. Twórczość noblisty ma znaleźć swoje miejsce w Domu Literatury w Gdańsku - instytucji powołanej w miejsce planowanego wcześniej Domu Chodowieckiego i Grassa. Ma on pełnić funkcję centrum literackiego, prezentującego zarówno dorobek Grassa, jak i innych pisarzy związanych z miastem - Marii Janion, Stefana Chwina, Pawła Huelle czy Stanisławy Przybyszewskiej.

5 listopada w Oliwskim Ratuszu Kultury odbyła się debata „My Gdańszczanie, czyli kto? Z jakim dziedzictwem ku przyszłości?”, podczas której głos zabrał m.in. gdański radny i Przewodniczący Komisji Kultury Maximilian Kieturakis, który wyraził swoje sygnały od-

ZAMIAST SPOŁECZNEGO DIALOGU - NARASTAJĄ FRUSTRACJA I NIEPEWNOŚĆ. PRACOWNICY INSTYTUCJI „FUNKCJONUJĄ W ZAWIESZENIU”

nośnie nieczytelnych sygnałów, jakie miasto wysyła w sprawie Grassa.

- Dom Literatury powinien być nazwany imieniem Güntera Grassa. Odnoszę wrażenie, że nie ma takiej decyzji o wymazywaniu Grassa. Niemniej obawiam się, że nie ma jasnego planu, co z Günterem Grassem zrobić i jak o nim opowiadać.

Musimy jasno zdefiniować, jak chcemy opowiadać o Grassie w kontekście tożsamości Gdańska. Ta rozmowa jest przed nami - mówił Kieturakis.

Co z dziedzictwem wizualnym Grassa?

O ile przyszłość literackiego dziedzictwa Güntera Grassa, zgodnie z zapowiedziami Mia-

sta, ma być zabezpieczona w ramach Domu Literatury, o tyle los jego dzieł wizualnych pozostaje niepewny. Grass był nie tylko pisarzem, ale też Absolwentem Akademii Sztuk Pięknych w Düsseldorfie - twórcą rzeźb, grafik i rysunków, które stanowiły ważny element działalności Gdańskiej Galerii Güntera Grassa. Jak podkreśla artystka wizualna i badaczka feministyczna Dorota Walenty-nowicz, dawniej odbywały się regularne wystawy poświęcone jego plastycznemu dorobkowi. Dziś nie wiadomo do końca, jaka jest przyszłość tej kolekcji. Jak informuje Biuro Prezidenta:

„Kolekcja prac plastycznych Güntera Grassa, przekazana

GGM w formie depozytu, zostanie przekazana do odpowiedniej instytucji muzealnej, która zapewni właściwe warunki przechowywania i konserwacji. Zbiory plastyczne Güntera Grassa są obecnie przechowywane w warunkach dotychczasowych, adekwatnych do charakteru Gdańskiej Galerii Miejskiej”.

Środowisko artystyczne zwraca uwagę, że decyzje władz odślaniają szerszy problem bagatelizowania sztuk wizualnych w miejskiej polityce kulturalnej. Jak sądzą, redukcja Grassa do roli wyłącznie pisarza, jest gestem odsunięcia plastycznego obszaru sztuki na dalszy plan.

Widmo przeszłości w mieście paradoksów

Günter Grass przyszedł na świat w Wolnym Mieście Gdańsku w 1927 roku, w rodzinie kaszubsko-niemieckiej. Już w „Błaszonym bębnie” (1959), pierwszej części tzw. Trylogii gdańskiej, Grass przekształcił Gdańsk w alegorię Europy XX wieku: miasta zniszczonego przez nacjonalizm, a zarazem zdolnego do odrodzenia. Artysta stworzył miasto-pogranicza, zawieszone pomiędzy Niemcami a Polską.

Gdańsk to niewątpliwie miasto paradoksów, w którym od lat miesza się polskość i niemieckość, a Grass jako jeden z niewielu twórców potrafił opowiedzieć o tych sprzecznościach i łączyć je w jedną całość. Pomimo bycia Noblistą i symbolem Gdańska, stał się on również postacią kontrowersyjną, za sprawą wyznania z 2006 roku. Chodzi o jego służbę w Waffen-SS, gdy miał 17 lat.

- Można tę decyzję interpretować jako odpowiedź na ducha czasu, gdy straszak niemiecki znów stanowi paliwo polityczne. Grass jako pisarz zaangażowany zawsze był twórcą niewygodnym. Przykro, że Ratusz swoim działaniem tę atmosferę podtrzymuje, zamiast stawiać jej opór



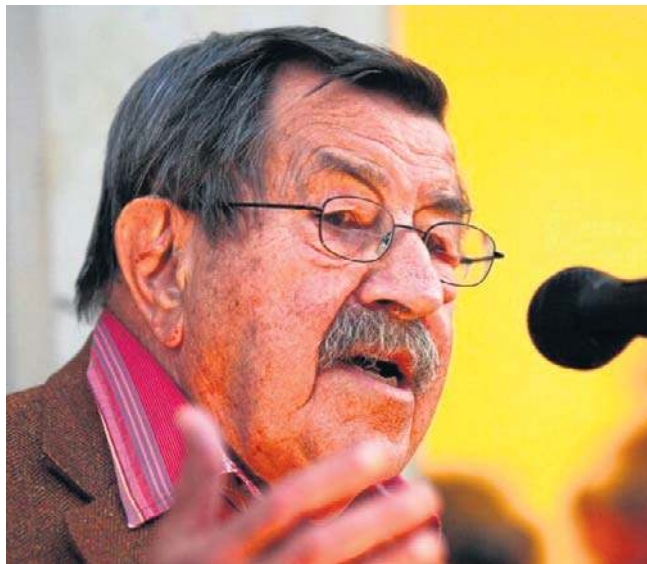
W Oliwskim Ratuszu Kultury odbyła się debata „My Gdańszczanie, czyli kto? Z jakim dziedzictwem ku przyszłości?”

FOT. JAKUB STEINBORN

- mówi Miłoslawa Borzyszkowska-Szewczyk i dodaje: - W 2006 roku gdańszczanie wykazali zrozumienie dla ówczesnego małolata i dla wstydu, który niósł potem przez wiele lat. O wiele ważniejsze było dla nich to, co Grass później zrobił z tym doświadczeniem. Całe swoje życie działał na rzecz polsko-niemieckiego pojednania, budowania demokracji oraz przełamywania podziałów między Wschodem a Zachodem Europy po wojnie i... umieścił Gdańsk na mapie literackich magicznych miejsc świata.

Miłoslawa Borzyszkowska-Szewczyk nie ma wątpliwości, że fuzja wynika z potrzeby „wymazywania” gdańskiego noblisty z przestrzeni miasta. Co więcej, uważa ona, że gdy zniknie Gdańska Galeria Güntera Grassa - czyli ostatnia placówka, która nosi imię noblisty - to wraz z nią zostanie wygumkowany cały patronat Grassa. Tak samo twierdzi Dorota Walentynowicz, która podkreśla, że środowisko artystyczne czuje, że postać Grassa jest stopniowo wymazywana, nazywając to „niepostrzeżonym procesem zanikania”.

- Twórczość Grassa, w tym także ta nieliteracka, była nie tylko artystycznie wartościowa, ale też ważna dla tożsamości Gdańska. W mojej rodzinie również przewijają się wątki



Günter Grass ujawnił w 2006 roku, że jako nastolatek został wcielony do Waffen-SS

gdańskie sprzed wojny, więc dobrze rozumiem tę złożoność. Grass potrafił pisać o niewygodnych prawdach. Wymazując takie postaci, zamykamy pod dywan trudne tematy i odbieramy sobie szansę na dialog o historii miasta - złożonej, niełatwej, ale naszej - mówi Dorota Walentynowicz.

Ze strachu przed niemieckością, wymazujemy przeszłość

Ratusz konsekwentnie odpięra zarzuty o wymazywaniu, powołując się na aktywne przy-

gotowania do obchodów stulecia urodzin Güntera Grassa w 2027 roku. W ramach jubileuszu planowane są wystawy, rezydencje, czytania performatywne oraz specjalna edycja Literackiej Mapy Gdańska.

- Jako SGG przygotowujemy wspólnie z Domem Literatury obchody stulecia urodzin Grassa - co nie zmienia jednak faktu, że Grassa nazwisko ma zniknąć z patronatu miejskich placówek kultury. To tak, jakby Dublin zrezygnował z patronatu Jamesa, jakby Lubeka zamknęła miejskie instytucje: Dom Tomasza Manna, Dom



Cytat z „Blaszanego bębena” na ścianie przedwojennego domu Güntera Grassa w Gdańsku przy ul. Lelewela 13

Willy’ego Brandta i Dom Güntera Grassa. Rezygnacja z patronatu to bardzo klarowny sygnał dla Gdańszczan i dla świata o przewartościowaniu naszego dziedzictwa kulturowego w Ratuszu i redukcji znaczenia symbolu. Z mojej perspektywy jest to gdański wstyd, niezależnie od klimatu doraźnej polityki - mówi Miłoslawa Borzyszkowska-Szewczyk.

Mimo zapewnień władz miasta, że nie chodzi o wymazywanie Grassa, wielu uczestników życia kulturalnego pozostaje sceptycznych wobec działań miasta, które przepro-

wadza decyzje bez dialogu i konsultacji społecznych z mieszkańcami miasta. A jak podkreśla Borzyszkowska-Szewczyk „Sposób traktowania mniejszości jest probierzem demokracji”. Pani profesor zauważa przy tym, że choć środowisko kultury to niewielka grupa wyborców, sposób jej pomijania mówi wiele o kondycji samorządowych mechanizmów partycypacji.

W sporze o Güntera Grassa nie chodzi jedynie o los galerii, ale także o pamięć miasta o samym sobie. O symbole i korzenie Gdańska. O to, że siłą jego

mieszkańców zawsze była zdolność do samokrytycznego spojrzenia oraz dialogu ponad podziałami. Postacią, która zjednywała różne światy, był właśnie Günter Grass, który z roku na rok jest po cichu wymazywany z gdańskiego środowiska kultury. Niegdyś organizowane były liczne wydarzenia nawiązujące do jego twórczości, dziś jest coraz mniej. Pamięć o nobliście wymazywana jest za pomocą politycznej gumki, a my, cytując Dorotę Walentynowicz - „nie zauważyliśmy momentu, w którym to wszystko zaczęło znikać”.

MATERIAL INFORMACYJNY T-MOBILE

0011428189

Pomóżmy dzieciom bezpiecznie wrócić do domu

– mija 10 lat od wysłania pierwszego Child Alert w Polsce

Każdego roku polska Policja rejestruje około dwóch tysięcy zgłoszeń dotyczących zaginięć osób małoletnich. Choć większość z nich kończy się szczęśliwie, zdarzają się sytuacje wyjątkowo trudne, wymagające zastosowania niestandardowych narzędzi. Jednym z nich jest system Child Alert – narzędzie szybkiego rozpowszechniania wizerunku zaginionego dziecka za pośrednictwem mediów i innych dostępnych środków masowego przekazu oraz instytucji.

W tym roku mija 12 lat od ogłoszenia gotowości operacyjnej tego systemu i 10 lat od pierwszej wysyłki komunikatu. To okazja, by przypomnieć, jak ogromną rolę w zwiększaniu skuteczności poszukiwań odgrywa szybka reakcja społeczna – oraz wsparcie technologii.

Technologia w służbie społeczeństwu - czym jest Child Alert?

Child Alert to system alarmowy działający w 22 krajach w Europie, uruchamiany

w sytuacjach uprowadzenia dziecka, gdy istnieje realne zagrożenie dla jego zdrowia lub życia. Komunikat zawiera wizerunek dziecka, informacje dot. jego wyglądu i ubioru, a także krótki opis zdarzenia. Jest rozpowszechniany wszystkimi dostępnymi kanałami, tak by dotrzeć do jak największej liczby osób, które mogą pomóc w poszukiwaniach.

W Polsce operatorem systemu jest Centrum Poszukiwań Osób Zaginionych Komendy Głównej Policji. Na czym polega jego skuteczność? Przede wszystkim na dwóch aspektach – prędkości i jednoczesnym działaniu wielu podmiotów. Funkcjonowanie systemu opiera się bowiem na błyskawicznej, skoordynowanej współpracy licznych instytucji, w tym mediów masowych. Wszystkie te podmioty wspólnie działają tak, by jak najszybciej dotrzeć z komunikatem do jak największej liczby odbiorców.

W Polsce system wspierany jest również przez T-Mobile Polska, który od 2015 r., jako jedyny operator, ak-



tywnie uczestniczy w jego funkcjonowaniu. Dzięki tej współpracy klienci sieci, którzy wyrazili na to zgodę, otrzymują specjalnego MMS-a z fotografią zaginionego dziecka, informacją dot. jego wyglądu i ubioru, a także krótki opis zdarzenia.

- Zaginięcie dziecka to niewyobrażalny dramat i koszmar każdego rodzica. Dlatego 10 lat temu nie mieliśmy wątpliwości, że chcemy dołączyć do działań w ramach systemu Child Alert. W T-Mobile każdego dnia widzimy, że nasze usługi

i infrastruktura to coś więcej niż narzędzie czy po prostu technologia. To rozwiązania, które łączą ludzi z tym, co najważniejsze i pomagają w najbardziej krytycznych sytuacjach. Jeżeli zaangażowanie naszej firmy i naszych klientów, którzy praktycznie cały czas mają telefon komórkowy przy sobie, pomoże bezpiecznie wrócić do domu choćby jednemu dziecku, będzie to ogromny sukces i powód do dumy. Razem naprawdę możemy więcej – mówi Andreas Maierhofer, Prezes T-Mobile Polska.

Skuteczność, którą buduje społeczeństwo

Od momentu wprowadzenia systemu Child Alert w Polsce uruchomiono go siedem razy. Każdorazowo doprowadził on do bezpiecznego odnalezienia dziecka – system wykazuje więc 100-procentową skuteczność. Tak dobry wynik to efekt współdziałania służb i społeczeństwa: setki zgłoszeń, które wpływały na specjalny numer alarmowy 995, okazywały się kluczowe dla prowadzenia poszukiwań.

Policjanci przypominają, że decydujące znaczenie mają pierwsze godziny od momentu zaginięcia. Im więcej osób wie o sytuacji, im więcej par oczu może zwrócić uwagę na dzieci pasujące do rysopisu, tym większa szansa na szybkie odnalezienie dziecka.

Kampania, która wzmacnia solidarność

W tym roku mija 10 lat od pierwszej wysyłki komunikatu i 10 lat od podpisania porozumienia o współpracy

między Komendą Główną Policji a operatorem, co stało się przyczynkiem do rozpoczęcia kampanii informacyjnej, której celem jest zwiększenie skali społecznej solidarności w poszukiwaniach zaginionych dzieci, które znajdują się w bezpośrednim zagrożeniu życia. Kampanii towarzyszy specjalny spot, który w obrazowy sposób pokazuje, jak ważna jest szybka reakcja społeczeństwa w sytuacji zaginięcia dziecka.

System jest usługą całkowicie niekomercyjną. **Abo-nenci T-Mobile, którzy chcą otrzymywać powiadomienia Child Alert, mogą wyrazić na to zgodę bezpłatnie – wysyłając SMS-a o treści TAK12 pod numer 4388 lub aktywując zgodę w aplikacji „Mój T-Mobile”.**

Hasło tegorocznej kampanii – „Pomóżmy dzieciom wrócić bezpiecznie do domu” – przypomina o rzeczy najważniejszej: każde dziecko zasługuje na bezpieczeństwo, a każdy z nas może pomóc je zapewnić.

MUZYKA KLASYCZNA I KASZUBSKI FOLKLOR SPLECIONE W NIEZWYKŁĄ OPOWIEŚĆ

Tryptyk Kaszubski - niecodzienne połączenie tradycji, kultury i historii Kaszub ze współczesną muzyką poważną - zagości już wkrótce na scenie Centrum Świętego Jana. Spektakl po raz pierwszy zostanie zaprezentowany w pełnej formie

Maciej Krajewski

WGdańsku szykuje się nie lada gratka dla pasjonatów zarówno kaszubszczyzny, jak i po prostu dobrej muzyki. Również 14 listopada w murach kościoła św. Jana zabrzmiały wyjątkowe nuty Tryptyku Kaszubskiego „Legenda, miłość, narodziny”.

Sednem utworu jest niespotykane dotąd połączenie libretta w języku kaszubskim z oryginalną muzyką klasyczną, której nie powstydziliby się wysokobudżetowe produkcje filmowe. Poszczególne elementy przedstawienia mogliśmy zobaczyć i, przede wszystkim, usłyszeć w minionych latach na scenie Gminnego Ośrodka Kultury, Sportu i Rekreacji w Chmielnie, przy czym gdańska odsłona będzie pierwszą prezentacją Tryptyku już w całości.

Wszystko spaja magnum opus Majkowskiego

Kanwą, snującą wątek przez wszystkie trzy części spektaklu, jest epopeja Aleksandra Majkowskiego „Życie i przygody Remusa” („Żecé i przigòdë Remùsa”). Powieść tą uznaje się za dzieło życia uznanego autora i najważniejszą pozycję literatury regionu. Jej treści Kaszubom przypominają właściwie nie trzeba, podobnie jak postaci samego Majkowskiego. Nie powinno więc dziwić, że to właśnie na „Remusie” oparto niecodzienny występ, mający zaprezentować regionalną kulturę w nowy sposób.

Pierwszą z części Tryptyku - Śpiewogrę kaszubsko-polską „Zamek we mgle” („Zómk w dôce”) - można uznać za swego rodzaju wprowadzenie do świata. Łagodniejsze melodie pozwalają prawdziwie przenieść się na wzgórze Szwajcarii Kaszubskiej, spojrzeć na malownicze brzegi niezliczonych jezior. Proste arie pięknie przeplatają się tu z narracją w języku kaszubskim, tworząc spektakl, jakiego w naszym regionie nigdy nie było. I to chyba najpełniejszy wyraz wspomi-



Prezentacji tej dopełnia chór Zespołu Pieśni i Tańca „Chmielanie”, obecny w każdej części Tryptyku

nanego połączenia folkloru z muzyką klasyczną.

Prezentacji tej dopełnia chór Zespołu Pieśni i Tańca „Chmielanie”, obecny w każdej części Tryptyku. Artyści, wierni swej nazwie, w otwierającej spektakl śpiewogrę dają od siebie nie tylko wokale, ale i krótki pokaz tradycyjnych stylów tanecznych.

W podobnym tonie prowadzony jest drugi z utworów - kantata „Remusowa Miłość” („Remùsowò miłota”). Cytaty z magnum opus Majkowskiego w tej części dopełnia poezja kaszubska Hanny Makurat-Snuzik. Jak to jednak bywa w środkowym akcie przedstawienia, w „Remusowej Miłości” czuć narastające napięcie, które w ostatnich taktach wręcz przytłacza - w pozytywny sposób.

Wieńczące występy Małe Oratorium Kaszubskie „Apokalipsa” jest na tym tle wyjątkowe. Autorzy postanowili bowiem na finał przygotować utwór znacznie bardziej mistyczny, niemalże sakralny, co osiągnęli połączeniem „Remusa” z fragmentami tytułowej Apokalipsy św. Jana. W dość przetworzony sposób całość nawiązuje również do chorałów gregoriań-

skich, a pojawiający się saksofon wbrew pozorom nadaje muzyce pewnej podniosłości.

Małe Oratorium jest wyraźnie krótsze od wcześniejszych utworów, podczas prapremiery w Chmielnie opatrzone było też stosunkowo minimalistyczną scenografią - w przeciwieństwie do bogatych ozdób śpiewogrę i kantaty. Wówczas to nie przeszkadzało, gdyż minimalizm, żeby nie powiedzieć - ascetyzm - idealnie wpasowywał się w bardziej duchowy wydźwięk finałowego przedstawienia. Czy był to przypadek czy zamie-

rzone działanie twórców, przekonamy się teraz w Gdańsku...

Po raz pierwszy zagości poza Chmielnem

Jak już napomknęliśmy, dotąd poszczególne części Tryptyku Kaszubskiego prezentowane były osobno w latach 2022, 2023 i 2024 - tak, jak powstawały. Na scenę za każdym razem wybierano salę widowiskową Domu Kultury w Chmielnie, ale już od samego początku twórcy nie chcieli trzymać tych utworów pod kluczem, w murach budynku.



Edyta Klasa: Na Tryptyku nie kończymy, bo w tym roku dostaliśmy dotację na produkcję kolejnego utworu

wództwa nie jest słynną perłą w centrum regionu, za jaką uznaje się Chmielno...

Skład prawie ten sam

Zbliżonego do chmielińskich prapremier wydźwięku należy się spodziewać również za sprawą wykonawców, którzy wracają w niemal niezmienionym składzie. To przede wszystkim zachwycający soliści Ewa Zeuner (mezzosopran) i Damian Wilma (baryton), orkiestra kameralna Evviva l'arte pod batutą Antoniny Banaś-Nitkowskiej, a o chórze zespołu Chmielanie już powiedzieliśmy. Rok w rok artyści dostarczali niezapomnianych wrażeń w skromnym Domu Kultury, teraz ich muzyka i śpiew wypełnią mury gdańskiej świątyni.

Jak przystało na kaszubskie spektakle, nie zabraknie dźwięków bazyli. Na charakterystycznych instrumentach zagrają Janusz Świątkowski oraz Andrzej Galiński. Zmiany dostrzeżemy natomiast w partiach solowych na saksofonie i trąbce - wystąpią odpowiednio Adrian Szajna i Marcin Poprawski.

Najistotniejszą różnicą wobec wcześniejszych pokazów to narrator. Niestety, w listopadzie ubiegłego roku zmarł Tadeusz „Pleskot” Makowski - działacz ludowy, gawędziarz, twórca kaszubskich instrumentów, który co roku spinał w całość występy na chmielińskiej scenie. Był to Kaszëba z krwi i kości, stąd jego udział w poszczególnych częściach Tryptyku nadawał przedstawieniu pewnej autentyczności.

Niełatwego zadania przejął pałeczki po tak uznanym postaci podjęmie się Michał Bronk. Pochodzącego z Gowidlina aktora dobrze kojarzą już mieszkańcy naszego regionu, a udział w XIX Konkursie Chopinowskim (w roli konferansjera) dał mu niemały rozgłos na cały kraj i jeszcze dalej.

Głos żeński narratora przy tym pozostaje bez zmian. Ponownie usłyszymy Łucję Kitowską.

Autorem libretta jest przytaczany wcześniej Jarosław Ba-

Po każdej prapremierze partytura i libretto przekazywane były do zasobów Biblioteki Narodowej. Dzięki temu artyści w całym kraju mogliby podjąć się przygotowania spektaklu we własnym zakresie.

Takie odczucia miał i autor libretta Jarosław Banaś. Po doświadczeniu finałowej części Tryptyku jednak spojrzął na całość pod nieco innym kątem...

- Na początku miałem bardzo duże oczekiwania do języka kaszubskiego. Żądałem wręcz od niego pewnej otwartości - mówił Jarosław Banaś w rozmowie z „Dziennikiem Bałtyckim” zaraz po prapremierze Małego Oratorium. - Natomiast w drodze ewolucji, myślenia, doszedłem do takiego przekonania, że ta hermetyczność kultury kaszubskiej jest największą wartością. Hermetyczność i wyjątkowość. Święty język kaszubski powinien być celebrowany tutaj, w ojczyźnie Kaszubów, ze specjalnym namaszczeniem.

W dyskusję, czy Gdańsk to jeszcze Kaszuby nie będziemy się wdawać, aczkolwiek mury kościoła św. Jana podobnie powinny wpasowywać się w tę ideę. Nawet jeśli stolica woj-

naś, oryginalną muzykę zaś skomponował Mateusz Ryczek. Tematyka Kaszub, zwłaszcza operowanie wokół tekstu w języku kaszubskim, bynajmniej nie były czymś prostym dla kompozytora z Dolnego Śląska. Ale, jak on sam twierdzi, praca dostarczała sporo radości i satysfakcji.

- Zawsze podchodzę do każdego utworu bardzo indywidualnie. A tutaj mieliśmy tę warstwę tekstową i to jeszcze po kaszubsku, więc to było naprawdę wyzwanie, ale bardzo fajne wyzwanie. Uwielbiam robić takie rzeczy - mówił Mateusz Ryczek po prapremierze Małego Oratorium. - Była to bardzo trudna praca, z dużym namysłem podchodziłem do tego, ale jestem zadowolony z efektu. Ale też nie mam dystansu.

Tryptyk Kaszubski „Legenda, miłość, narodziny” to autorski projekt GOKSiR w Chmielnie, dofinansowany ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Dyrektorem całego przedsięwzięcia jest Edyta Klasa, szefowa chmielnieskiego Domu Kultury.

Spektakl 14 listopada rozpoczyna się o godz. 18. W przeciwieństwie do wcześniejszych prapremier, wstęp na wydarzenie w Centrum św. Jana w Gdańsku jest już płatny. Bilety można nabyć przez Internet na portalu biletyna.pl.

Tak, jak prezentacja śpiewogry w 2022 r. była w Chmielnie czymś zupełnie nowym, tak nadchodzący występ z całym utworem w Gdańsku jest równie pionierskim przedsięwzięciem dla tutejszego Domu Kultury. O nastrojach przed premierą oraz planach na przyszłość rozmawialiśmy z Edytą Klasą, która od początku czuwała nad projektem.

Maciej Krajewski: Już trzy lata temu, podczas prapremiery śpiewogry „Zamek we mgle”, pierwszej części Tryptyku, wiadomo było, że spektakl ten nie jest robiony z myślą o odgrywaniu go łącznie w Chmielnie. Można więc powiedzieć, że nadchodzący występ na gdańskiej scenie to pełna realizacja tych planów?

Edyta Klasa: Myślę, że to przede wszystkim wyraz konsekwentnego działania naszego ośrodka kultury - działania, którego początkiem była produkcja śpiewogry w 2022 r. Teraz kontynuujemy pracę w tym kierunku. Mamy również okazję zaprezentować przed inną widownią to, co przez trzy lata w naszym wiejskim ośrodku pro-

dukowaliśmy, a co bardzo czerpie z zasobów kultury kaszubskiej. Wyjątkowość Tryptyku polega na tym, że łączymy muzykę poważną, klasyczną z tym, co jest w zasobach naszej lokalnej kultury. Będzie to występ przed inną widownią, ale też po raz pierwszy przedstawiony jako całość.

Czy wobec tego jest stres, niepewność, jak spektakl odbierze trójmiejska publiczność?

Stres jest chyba nieodłączną częścią każdej takiej premiery. Pozytywne jednak jest bardzo przychylne podejście Nadbałtyckiego Centrum Kultury w Gdańsku. Udośtępniają nam przestrzeń koncertową w Centrum św. Jana, wspierają w przygotowaniach. Spotkaliśmy się z bardzo dużą przychylnością i życzliwością. I myślę, że trójmiejska publiczność również pozytywnie odbierze to, co zaprezentujemy - co jest właściwie dorobkiem małego, wiejskiego domu kultury w Chmielnie.

Optymistycznie nastawia zapewne i ciepłe przyjęcie widzów w Chmielnie, jakie wi-

dzieliśmy co roku podczas kolejnych pokazów.

Poprzez nawiązanie współpracy z artystami, partnerami medialnymi oraz branżą kreatywną stworzyliśmy warunki do wyprodukowania unikatowych dzieł popularizujących literaturę kaszubską i kulturę Kaszub, jako część dziedzictwa polskiej kultury narodowej. Chmielnieska widownia uczestniczyła w prapremierych śpiewogry, kantaty i w zeszłym roku Małego Oratorium Kaszubskiego. Apokalipsa. Chmielno - stolica „rodnej mowy” - dobrze przyjęła te utwory napisane w języku kaszubskim. Pozytywny odbiór widowni, do tego dobra współpraca z kompozytorem Mateuszem Ryczkiem (obecnie jest wiceprezesem Związku Kompozytorów Polskich), z autorem słuchowisk radiowych Jarosławem Banasiem, przygotowującym nam warstwę tekstową, do tego wsparcie z programów ministra kultury, dodały odwagi i przekonania do rozwijania tego muzycznego projektu. Jego efekty wykorzystujemy w bieżącej działalności edukacyjno-animacyjnej naszego Ośrodka Kultury

i w propagowaniu świadomości własnej tożsamości kulturowej nas Kaszubów, ze szczególnym uwzględnieniem młodego pokolenia. Za dobry odbiór poprzednich spektakli w dużej mierze odpowiadają też wykonawcy. W Gdańsku ujrzymy właściwie ten sam skład, co dotąd w Chmielnie - zabraknie jedynie Tadeusza Makowskiego, którego pożegnaliśmy niemal równo rok temu. Jego rolę przejmie jednak inny bardzo rozpoznawalny ostatnio głos - Michał Bronk. Przyznaję, że też na tę rozpoznawalność liczymy. Bardzo się cieszę, że pan Michał Bronk zgodził się wziąć udział w tym projekcie. Ale tak, poza tym skład w zasadzie jest niezmienny. To jest taka już sprawdzona grupa artystów. Dobrze nam się współpracuje i z dyrygentką Antoniną Polą Banaś-Nitkowską i jej orkiestrą, z solistami Ewą Zeuner i Damianem Wilmą. Co ważne z mojej perspektywy, to że trzonym całego przedsięwzięcia jest nasz regionalny Zespół Pieśni Tańca „Chmielanie”. Myślę, że dla młodych, tym razem w roli wokalistów, występ na gdańskiej scenie

w Centrum św. Jana będzie ważnym i budującym wydarzeniem.

Planujecie już coś po nadchodzącym występie w Gdańsku? Prezentacje w innych miastach, innych regionach? A może zupełnie nowy utwór?

Na Tryptyku nie kończymy, bo w tym roku dostaliśmy dotację z KPO na produkcję kolejnego utworu muzycznego. Tym razem będzie to opera w dwóch aktach - „Bursztynowe Łzy”. Składowe opery to: libretto w języku kaszubskim z adaptacją na głosy kobiece i męskie (sopran, mezzosopran, tenor i baryton), muzyka na orkiestrę kameralną oraz tradycyjne kaszubskie instrumenty ludowe i solistów, teatr lalkowy. Opera będzie w konwencji „teatru czarnego”, a fabuła czerpie motywy z mitologii kaszubskiej. Główne postacie to Gosk - kaszubski bóg morza, pan Bałtyku, wiatru, sztormów - i jego córka Jurata.

Kiedy to ujrzymy, usłyszymy?

To już realizujemy. W lutym przyszłego roku będzie prapremiera w Chmielnie.

MATERIAL INFORMACYJNY NASK

EZD RP jako element odporności i suwerenności cyfrowej państwa

0011378253
EZD RP
NASK

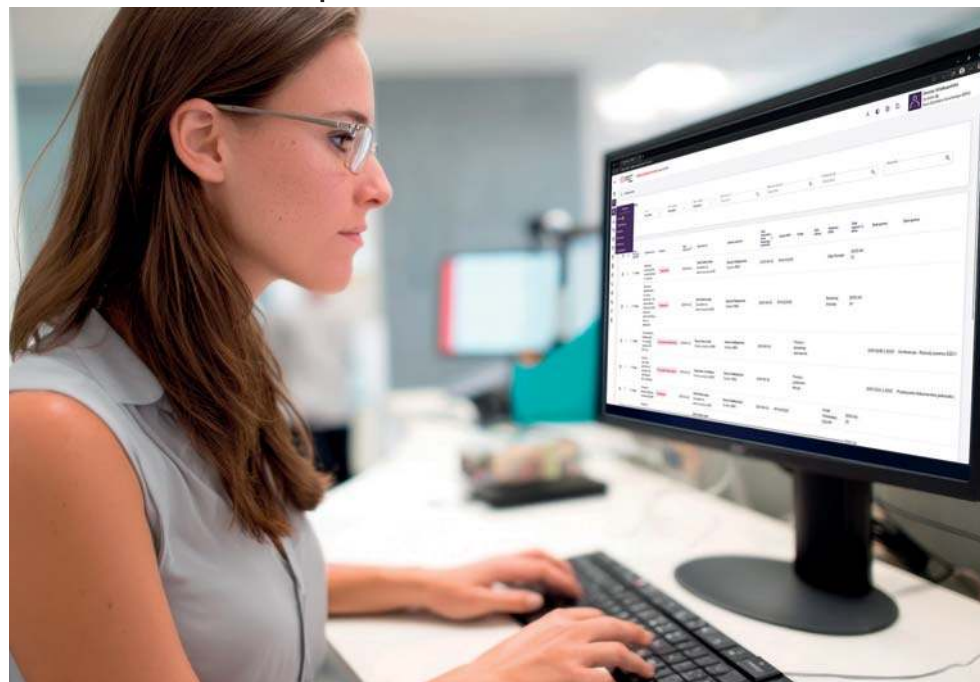
Cyfryzacja administracji przy jednoczesnej ochronie danych? Szybsza i łatwiejsza obsługa spraw urzędowych? To wyzwania dla instytucji publicznych. Ale jest na nie odpowiedź - EZD RP - system IT wdrażany i utrzymywany przez NASK, upowszechniany dzięki funduszom z KPO.

Administracja publiczna korzysta z wielu rozproszonych systemów do elektronicznego zarządzania dokumentacją, pochodzących od różnych dostawców. Takie rozwiązanie generuje koszty i utrudnia współpracę pomiędzy różnymi jednostkami. EZD RP jest odpowiedzią na te problemy, stworzoną przez specjalistów NASK. Instytucje publiczne nie muszą już wybierać między produktami prywatnych firm.

To sprawia, że dokumentacja urzędowa - decyzje, pisma, umowy, raporty - przechowywana jest w Polsce w ramach infrastruktury nadzorowanej przez NASK i Ministerstwo Cyfryzacji. To znaczący krok w kierunku cyfrowej suwerenności państwa.

EZD RP w kontekście strategicznym

EZD RP wpisuje się w Strategię Cyfryzacji Polski, która



do 2035 roku zakłada stworzenie bezpiecznego, zintegrowanego ekosystemu usług publicznych. W tym terminie planowane jest:

- wdrożenie systemu elektronicznego zarządzania dokumentami w podmiotach realizujących zadania publiczne;
- prowadzenie spraw przez te podmioty w postaci elektronicznej.

System umożliwia m.in. prowadzenie koresponden-

cji urzędowej, podpisywanie dokumentów czy też archiwizację spraw online. EZD RP nie wyprze w całości dokumentacji papierowej, ale znacznie zmniejszy jej skalę. I to zmiana zarówno dla urzędników, jak i obywateli.

Przejście na elektroniczne zarządzanie dokumentacją oznacza większą transparentność procesów i lepszy nadzór nad decyzjami administracyjnymi. Możliwe jest także śledzenie na bieżąco sprawy prowadzonej przez urzędnika - może to robić uprawniona

do podglądu osoba. Z punktu widzenia obywatela wdrożenie EZD RP przyspieszy załatwianie spraw i wyeliminuje błędy, które zdarzają się przy ręcznej obsłudze dokumentacji.

EZD RP a odporność administracji i bezpieczeństwo

Dziś, kiedy ryzyko związane z cyberatakami jest szczególnie wysokie, kluczowe jest bezpieczeństwo danych obywateli. NASK je zapewnia i gwarantuje ochronę przed cyberzagrożeniami. Jednostki, które korzystają z systemu EZD RP, nie tylko opierają się na zaawansowanej technologicznie infrastrukturze IT - aplikacja zapewnia także automatyczne wykonywanie kopii bezpieczeństwa, a system nadawania uprawnień użytkownikom jest bardzo rozbudowany.

Istotnymi elementami bezpieczeństwa danych są pracownicy, odpowiednio przeszkoleni w zakresie merytorycznej obsługi systemu. Szkolenia uwzględniają szczególnie wytyczne związane z cyberbezpieczeństwem i zarządzaniem dostępem do zasobów.

Warto też zaznaczyć, że w przypadku modelu SaaS awarie sprzętu lokalnego nie wpływają na działanie systemu, a kopie danych są przechowywane w wielu lokalizacjach. Co więcej, centralny model aktualizacji pozwala na natychmiastową reakcję na zagrożenia, eliminując konieczność indywidualnych interwencji w tysiącach urzędów.

Edukacja i adaptacja

Jednym z filarów projektu EZD RP są szkolenia z obsługi systemu, które obejmą aż 75 tys. pracowników administracji, a finansowane są ze środków KPO. System do elektronicznego zarządzania dokumentacją staje się nie tylko narzędziem pracy, lecz także istotnym elementem wspierającym edukację cyfrową.

EZD RP nie jest zwykłą aplikacją. To platforma, która wzmacnia odporność administracji publicznej i zapewnia suwerenność danych. Właśnie dlatego jej upowszechnianie jest niezwykle istotne. Więcej informacji o projekcie: ezdrp.gov.pl/kpo.



Rzeczpospolita
Polska

Sfinansowane przez
Unię Europejską
NextGenerationEU



NASK

SŁOWIAŃSKA MITOLOGIA I MISJA ARTYSTYCZNA HANNY DOLI

Niezwykły świat słowiańskich wierzeń i ludowych podań zakłęta w grafikach.

- Zdecydowałam się na popularyzację rodzimej kultury, ponieważ jest równie tajemnicza co fascynująca. Odnajduję w niej swoją tożsamość – mówi artystka Hanna Dola

Kinga Furtak

Słowiański duch krążył wokół ilustratorki. Także za sprawą nazwiska, które przyjęła od męża – Dola. Jej twórczość zaczęła niezwykle rozkwitać, gdy zrozumiała, co ono oznacza.

- Zaczęłam zagłębiać się w interpretację nazwiska, które okazało się niezwykle słowiańskie. Dola to bogini dobrego losu. Był to impuls do dalszego pogłębiania wiedzy oraz odkrywania bogactwa rodzimej słowiańskiej kultury. Klimaty mitologiczne i fantastyczne od zawsze mnie fascynowały. Zakochałam się w tym mistycznym pojmowaniu natury i świata oraz bogactwie magicznych istot.

Dlatego możliwe jest spotkanie ze słowiańskimi bogami oko w oko. Pefen siły i muskułarny gromowładny Peruna otoczony kłębiastymi chmurami zerka z niebios. Z masywnej dłoni zsyła pioruny, które dotrą na Ziemię. Czuć, że burza niebawem nadejdzie. Jego postać wzbudza respekt. To on był władcą nieba i piorunów. Symbolizował władzę i sprawiedliwość. Był postacią o potężnych mocach. Chronił ludzi przed chaosem. Jest też majestatyczna, piękna i pełna spokoju bogini Mokosz. Przysiadła na skałach, przez które przepływa potok. Tajemnicze miejsce jest otoczone zwierzętami i nimfami wodnymi, które zwracają się ku bogini. To ilustracje autorstwa Hanny Doli, która zabiera nas w fascynujący świat dawnych słowiańskich wierzeń, nierozzerwalnie związanych z naturą, jej cyklami oraz ukrytymi mocami.

Tak było. Zanim wkroczyło chrześcijaństwo i zapuściło korzenie, to w słowiańskim świecie rozwijały się i kwitły wierzenia związane z cyklem pór roku, naturą, życiem oraz śmiercią. Artystka pochodząca z Kociewia Hanna Dola poszukuje tych historii. Potem zamienia je w pełne detali grafiki,

które powstają za pomocą tuszu. Nie ma możliwości naniesienia poprawek jeden błąd może zniweczyć cały wysiłek.

Oglądając te ilustracje warto poświęcić chwilę uwagi, aby poszukać poukrywanych zwierząt, owoców, fragmentów uzbrojenia. Tu nie ma miejsca na oczywistość i szybki odbiór. W tym tkwi piękno prac Hanny Doli. Ilustratorka zaprasza oglądających do świata pełnego magii, który pozostawia pole do interpretacji odbiorcy. Nawet dla tego, który po raz pierwszy spotyka się ze słowiańskim światem bogów i demonów.

- Mam nadzieję, że odbiorcy dadzą wciągnąć się w historie przedstawione na ilustracjach dzięki bogactwu elementów, które umieszczam w każdej pracy. Chcę swoją twórczością

TWÓRCZA DZIAŁALNOŚĆ HANNY DOLI WCIĄŻ SIĘ ROZWIJA. MOŻNĄ JĄ OGLĄDAĆ NA WYSTAWACH, ALE TAKŻE JEJ PRACE ZDOBIA OKŁADKI KSIĄŻEK

zachęcać do poznawania mitologii słowiańskiej. Mam nadzieję, że prace niosą też funkcję edukacyjną. Czuję w tym głęboko zakorzoną misję. Im więcej osób pozna mitologię słowiańską, polubi ją, tym większą czuję radość – podkreśla Dola.

To niezwykle pracochłonne zajęcie. Cały proces rozpoczyna się od zgromadzenia informacji na opracowywany temat. Jak przyznaje artystka

mimo coraz większej liczby publikacji o wierzeniach i mitologii słowiańskiej czasami nie jest łatwo znaleźć odpowiedzi na nurtujące pytania. Rosnąca fala popularności słowiańszczyzny spowodowała, że rynek zaczęły zalewać publikacje, które nie opierają się na faktach przez co wprowadzają czytelników w błąd.

- Chcę, aby przekazywana mitologia słowiańska, była, jak najbardziej spójnie ze źródłami

historycznymi. Zebrana przez lata wiedzę, ubieram w swoją artystyczną interpretację.

Hanna Dola jest absolwentką Liceum Plastycznego w Gdyni Orłowie, gdzie rozwijała warsztat i poznawała nowe techniki. Po uzyskaniu dyplomu plastyka postanowiła związać przyszłość z grafiką. Aby móc to zrealizować kontynuowała edukację w Polsko-Japońskiej Akademii Technik Komputerowych w Gdańsku na wydziale Nowych Mediów. Na uczelni rozpoczęła pracę nad Panteonem Bogów Słowiańskich, który stał się tematem pracy dyplomowej.

Najbliższy sercu ilustratorki jest Weles - mroczny bóg zaświatów, czyli Nawii. Był opiekunem dusz zmarłych. Uznawano go za pana i najwyższego stróża bydła, które na słowiań-

szczyźnie było odzwierciedleniem i miernikiem bogactwa i dobrobytu.

To jemu poświęciła najwięcej grafik. Na jednej z nich Weles jest zamaskowaną tajemniczą postacią. Występuje w towarzystwie swoich synów kruszego - Lela i sowiego Poleła. Znalazł się tam również magiczny Żmij, w którego postać wcielał się ten bóg. Hanna Dola narysowała też spokojniejszą postać tego boga, jako pana Nawii, który zasiada na korzeniach drzewa i wypasa ludzkie dusze.

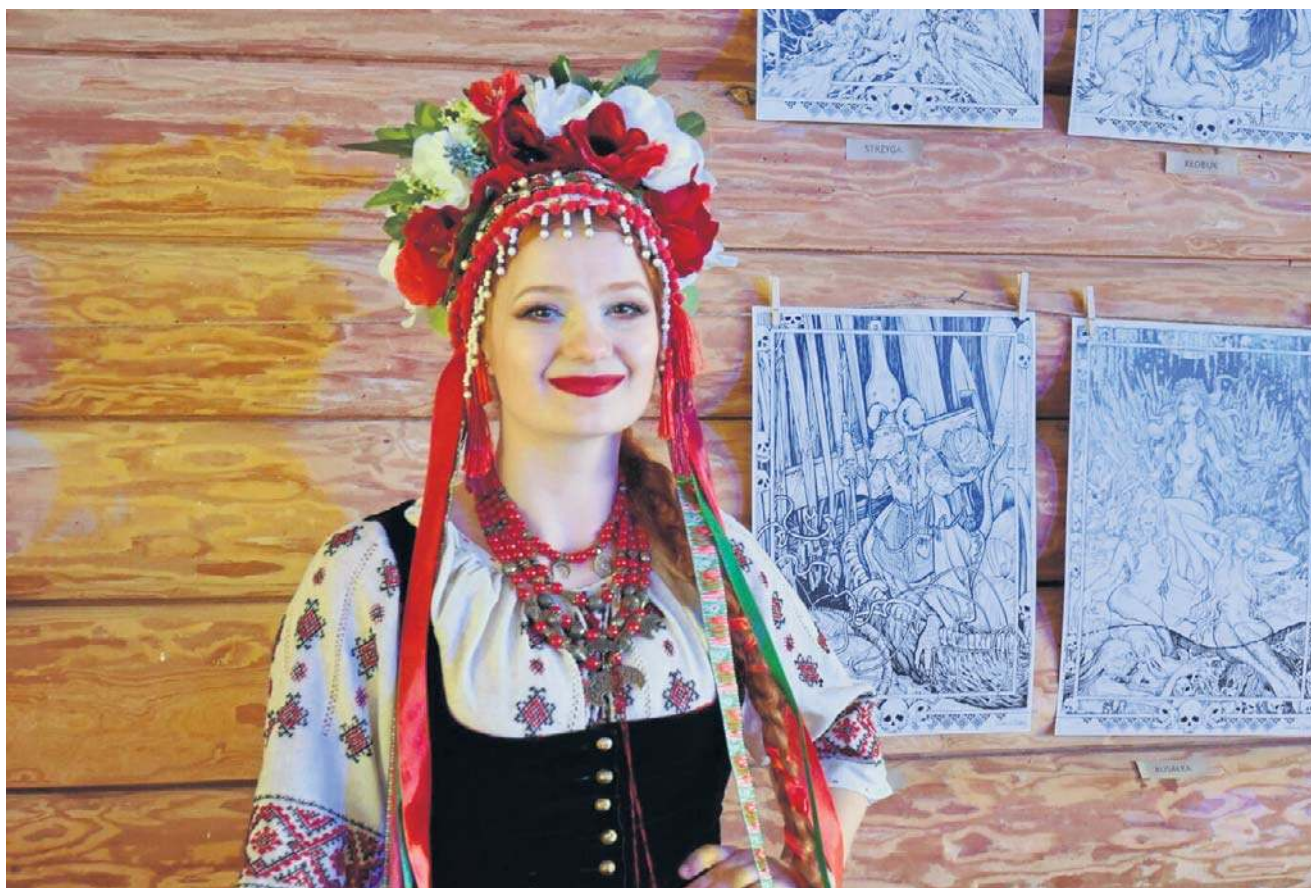
- Mam urodziny 11 lutego, czyli w święto Welesa. Dlatego jest bliskim mi bóstwem - opowiada ilustratorka.

Artystka ma też ulubione boginie.

- Dola jest ciekawa, bo może być przypisywana wszędzie. Bogini losu była bardzo rozpoznawalna w kulturze mimo, że zmienił się wydźwięk i kontekst jej postrzegania. Mokosz jest rozbudowaną boginią, którą przypisuje się kobiecie i naturze. Dziewanna, jako bogini beztroski, młodzięcej siły i energii kobiecej. Ukazałam ją na biegnącym jeleniu w towarzystwie innych zwierząt.

Twórcza działalność Hanny Doli wciąż się rozwija. Można ją oglądać na wystawach, ale także jej prace zdobią okładki książek, które wydało Muzeum Mitologii Słowiańskiej m.in. Badania nad wierzeniami Słowian oraz Baba Jaga Tajemnicza Postać Słowiańskiego Folkloru, zaprojektowała też okładkę płyty. Jej pierwsza wystawa Panteonu Bogów Słowiańskich odbyła się w nieistniejącym już Muzeum Mitologii Słowiańskiej w Owidzu. Wydała „Panteon bogów słowiańskich” - także w formie albumu.

- Jest to kompilacja składająca się z 46 kart w formacie A4 na których znajdują się 23 grafiki z wizerunkami słowiańskich



Artystka z warkoczem do pasa, lubi wkładać słowiańskie stroje lub te kolorowe związane z naszym folklorem

FOT. KINGA FURTAK

bogów w mojej autorskiej interpretacji. Kolejnym 23 kartom poświęciłam miejsce na krótkie opisy bogów stworzone w oparciu o dostępne źródła historyczne i prace naukowe dotyczące tematyki wierzeń i mitologii słowiańskiej - opowiada Dola.

Wąpierz, Rusałkę, Zmorę czy Południcę poznamy w Panoptikum demonów słowiańskich.

Popularnością cieszy się kalendarz ścienny wydawany przez Dolę. Ten na 2026 rok jest poświęcony słowiańskim świętom ukazany w tryptykach.

- Każde święto jest podzielone na trzy części, które ma pokazywać obrzędowość oraz tradycje danej uroczystości - od Nocy Kupały po Szczodre Gody. Mam nadzieję kontynuować tę serię, bo słowiańskich świąt było sporo. Na razie skupiłam się na głównych świętach, a w kolejnym roku planuję poszerzać tę serię i stworzyć album z obrzędami.

Rękodzieło jest równie bliskie jej słowiańskiemu sercu. Stworzyła korale. Pomysł zrodził się z potrzeby biżuterii, którą chciała nosić, a nigdzie nie mogła jej kupić.

- Nie mogłam znaleźć biżuterii dla siebie. Nie chciałam lunuli typowo rekonstrukcyjnej, ani nowoczesnej. Dlatego postanowiłam sama wykonać naszyjnik. Spodobał się moim ob-



Hanna Dola jest absolwentką Liceum Plastycznego w Gdyni Orłowie

serwatorkom, które też chciały nosić podobne. W ten sposób biżuteria weszła na stałe do sprzedaży. Cieszę się, że dziewczyny ją noszą na różnych wydarzeniach i przekazują kulturę swoim wyglądem, a ja mam w tym swoją częśćkę - opowiada.

Artystkę można spotkać na wydarzeniach związanych ze słowiańszczyzną i historią,

gdzie rozstawiała swój reko kram z pięknymi wytworami rękodzielniczymi. Prowadzi też media społecznościowe - HannaDolaArt, w których dzieli się swoją twórczością. A wybierając się do sklepu internetowego, możemy nabyć grafiki, albumy, biżuterię, skórzane, ozdoby i wiele innych niepowtarzalnych przedmiotów z duchem słowiańszczyzny.

Artystka z charakterystycznym warkoczem do pasa, lubi wkładać słowiańskie stroje lub te kolorowe związane z naszym folklorem.

- Liczę, że jest to czas, w którym się budzimy i wracamy do naszych korzeni. Jesteśmy bardziej świadomi i wraca z namiłowanymi do tego, co nasze - podsumowuje Hanna Dola. ©P



Jedna z utrzymanych w słowiańskim klimacie ilustracji autorstwa Hanny Doli

MATERIAŁ INFORMACYJNY PORTU CZYSTEJ ENERGII

0011416472

Zajrzyj za bramy Portu Czystej Energii i Zakładu Utylizacyjnego. Gdańsk pokazuje, co dzieje się z naszymi odpadami

Podczas jesiennej edycji Dni Otwartych Portu Czystej Energii, która odbędzie się 15 i 16 listopada, mieszkańcy będą mogli z bliska przyjrzeć się pracy nowoczesnej instalacji, poznać jej wpływ na środowisko oraz odkryć, jak elektrociepłownia wpisuje się w ideę gospodarki o obiegu zamkniętym.

W trakcie wydarzenia uczestnicy zobaczą od środka, jak nowoczesna technologia pozwala zamieniać odpady w ciepło systemowe i energię elektryczną. Zwiedzający poznają proces termicznego przekształcania odpadów - od momentu przyjazdu śmieciarek, przez ważenie i wrzut odpadów do bunkra, aż po sam proces spalania, oczyszczania spalin i zagospodarowania popiołów oraz żużli.

- Port Czystej Energii obsługuje przeszło 700 tysięcy mieszkańców z 39 gmin województwa pomorskiego, gwarantując możliwie niskie i stabilne opłaty za gospodarowanie odpadami komunalnymi, połączone z bezpieczeństwem energetycznym i środowiskowym regionu - podkreśla Sławomir Kiszurno, prezes zarządu Portu Czystej Energii i Zakładu Utylizacyjnego w Gdańsku.

Ale to nie wszystko. Oprócz zwiedzania instalacji na uczestników czekać będą strefy edukacyjne i informacyjne partnerów: Zakładu Utylizacyj-

nego, Gdańskiego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej, Zakładu Utylizacji Odpadów Stałych w Tczewie oraz Zakładu Utylizacji Odpadów w Gliwie Małej. Każdy będzie mógł sprawdzić swoją wiedzę ekologiczną, porozmawiać ze specjalistami i wziąć udział w konkursach. Organizator przygotował dla mieszkańców również dodatkowe atrakcje - m.in. koło fortuny, grę edukacyjną czy specjalną strefę dla najmłodszych, w której dzieci będą mogły bawić się i uczyć o środowisku w praktyce. Zwiedzanie instalacji jest bezpłatne (obowiązują zapisy) i odbywać się będzie w godzinach 9:00 - 15:00, w grupach 20-osobowych z przewodnikiem. Każdy uczestnik otrzyma niezbędne środki ochrony osobistej - kask i kamizelkę odblaskową. Wskazane jest założenie płaskiego, wygodnego obuwia typu trekkingowego. Szczegółowy regulamin oraz link do zapisów dostępny jest na stronie: <https://portczystejenergii.pl/> Zobacz, jak działa Port Czystej Energii - zapraszamy na jesienne Dni Otwarte!

Co dzieje się z odpadami po wyrzuceniu do pojemnika? Odkryj to podczas Dnia Otwartego Zakładu Utylizacyjnego

Już 22 listopada odbędzie się Dzień Otwarty Zakładu Utylizacyjnego



w Gdańsku - to wyjątkowa okazja, by zobaczyć od środka, jak funkcjonuje nowoczesny system zagospodarowania odpadów i jak duże znaczenie ma prawidłowa segregacja. W jesiennej edycji zakład ponownie zaprasza rodziny z dziećmi od 5. roku życia. Robi to, bo edukacja ekologiczna powinna być przede wszystkim kierowana do najmłodszych mieszkańców, którzy głównie w tym czasie kształtują swoją wrażliwość środowiskową na całe życie.

Dni Otwarte w Zakładzie Utylizacyjnym na stałe wpisały się w kalendarz gdańszczanek i gdańszczan. Zwiedza-

jący mogą zobaczyć m.in. **sortownię odpadów komunalnych, sortownię Szadółki czy kwatery składowe. - To doskonała okazja, by przekonać się, jak wiele z pozornie niepotrzebnych odpadów można przekształcić w cenne surowce - mówi Sebastian Kozłowski, wiceprezes Zakładu Utylizacyjnego. - To możliwe tylko dzięki prawidłowej segregacji w naszych domach.**

Podczas wydarzenia pracownicy zakładu wytłumaczą, jak poprawna segregacja wpływa na cały proces odzysku i recyklingu oraz dlaczego nawet drobne błędy mogą go zaburzyć.

Zaplanowano **pięć tur zwiedzania**. Trzy z nich - dla dorosłych i młodzieży powyżej 13. roku życia - obejmują trasę przez sortownię odpadów. Dwie kolejne to **wycieczki objazdowe busem** po terenie zakładu dla **dzieci w wieku 5-12 lat** wraz z opiekunami. - **Po raz drugi przygotowaliśmy specjalne trasy rodzinne, bo widzimy ogromne zainteresowanie mieszkańców - podkreśla Sara Miotk, kierownik Działu Komunikacji i PR.**

Zakład Utylizacyjny obsługuje cztery gminy: **Gdańsk, Kolbudy, Pruszcz Gdański i gminę wiejską Pruszcz Gdański**, czyli łącznie ponad **560 tysięcy mieszkańców**. Każdego roku przetwarza około **300 tysięcy ton odpadów**. Dzięki nowoczesnym technologiom coraz większa ich część trafia do recyklingu i dalszego wykorzystania. Dni Otwarte to nie tylko zwiedzanie - to również **praktyczna lekcja ekologii**. Uczestnicy przekonują się, że również mają wpływ na środowisko, a odpowiedzialne postępowanie z odpadami to nasza wspólna sprawa. **Dzień Otwarty Zakładu Utylizacyjnego w Gdańsku odbędzie się 22 listopada**. Udział w wydarzeniu jest **bezpłatny**, jednak obowiązują wcześniejsze zapisy.

Szczegóły znajdują się na stronie **dzienotwarty.zut.com.pl**

TA SIEĆ POŁĄCZY PACJENTÓW I LEKARZY

Pacjent z podejrzeniem nowotworu wychodzi z gabinetu, ma stos skierowań i nie wie, dokąd ma iść żeby się zarejestrować. Dzwoni, dowiaduje się, że tomografię mu zrobią w Elblągu za pół roku... O tym, dlaczego Krajowa Sieć Onkologiczna jest potrzebna, rozmawiamy z prof. dr hab. med. Rafał Dziadziuszko, szef Kliniki Onkologii i Radioterapii GUMed

Jolanta Gromadzka-Anzelewicz

O losie pacjenta onkologicznego, czyli o tym, czy będzie on miał szybki dostęp do leczenia decyduje dziś to, gdzie mieszka. Chory z okolic Bytowa albo Lęborka ma o wiele mniej szans niż ten, który mieszka w Trójmieście. Czy Krajowa Sieć Onkologiczna zmieni w tej kwestii cokolwiek na lepsze?

To jedno z najważniejszych założeń reformy pod nazwą Krajowa Sieć Onkologiczna. Myślę, że nierówność w dostępie do opieki onkologicznej i w ogóle do opieki medycznej, jest dzisiaj jednym z największych problemów naszego systemu ochrony zdrowia. I mówię tutaj o dostępie zarówno do diagnostyki, radioterapii jak i do terapii celowanych czy immunoterapii. Natomiast niwelacja tych różnic, nierówności w dostępie do onkologa jest jednym z priorytetów sieci onkologicznej.

Jak sprawić by ten przysłowiowy chory spod Bytowa trafił tam, gdzie powinien, a nie do najbliższego szpitala, który nie ma oddziału onkologii?

Optymalna opieka wymaga, by pacjenta szybko przekierować do ośrodka, który specjalizuje się w leczeniu tego rodzaju nowotworów i robi to zgodnie z obowiązującymi standardami, co zwiększy jego szansę na wyleczenie. Standardy? Z opowieści pacjentów wynika, że każdy oddział, na który trafiali leczyli ich, jak potrafił i chciał. Brakowało jednak standardów i opisanej ścieżki dla pacjentów. Nie do końca tak jest ponieważ w Polsce, mniej więcej od 2010 roku, co 3-5 lat publikowane są wytyczne postępowania w nowotworach złośliwych. Tak jest w onkologii. Czy w innych dziedzinach również - trudno mi powiedzieć.

Kto opracuje te standardy?

Jednym z zadań Krajowej Sieci Onkologicznej jest wdrażanie standardów opieki, które są w tej chwili publikowane przez Towarzystwa Onkologiczne, przede wszystkim Polskie Towarzystwo Onkolo-



Prof. dr hab. med. Rafał Dziadziuszko

gii Klinicznej i one są również akceptowane przez Krajową Radę Onkologii jako rekomendowane do wykorzystania w codziennej praktyce.

Dlaczego standardy postępowania są w onkologii takie ważne?

Możliwość właściwego leczenia podążającego za dość szybko zmieniającymi się, nowymi standardami wiąże się w praktyce bardzo z poprawą wyników leczenia i nie wdrożenie tych standardów na czas oznacza mniejsze szanse pacjenta na skuteczne leczenie.

No właśnie, jeśli o skuteczności mówimy - wyniki leczenia raka płuca i wielu innych nowotworów złośliwych są w Polsce o wiele gorsze, niż w przodujących krajach Europy Zachodniej...

Dlatego poprawa logistyki i dostępności, powołanie koordynatorów oraz konsylium złożonych z różnych specjalistów, co jest jednym z kluczowych punktów w Krajowej

Sieci Onkologicznej, jest tak ważna. Jednym z zadań sieci onkologicznej, w tym Krajowej Rady do spraw Onkologii, w której mam przyjemność pracować, jest standaryzacja mierników oceny opieki onkologicznej. Bo przecież chodzi o to, żeby z tej puli 180 tysięcy osób, które zachowują rocznie na nowotwory złośliwe, jak najwięcej chorych uratować. Jesteśmy obecnie na początku drogi, to wielkie wyzwanie organizacyjne.

Podczas ostatniej Letniej Akademii Onkologicznej prof. Jacek Jassem krytykował pierwszy projekt sieci onkologicznej właśnie za brak monitorowania w poszczegól-

nych ośrodkach jakości leczenia?

Chodzi o to, by nie tylko płacić za procedury, nie tylko refundować jak najwięcej, ale też wymagać określonych wskaźników jakości leczenia, co jest niezmiernie ważne dla pacjenta. Co to oznacza? Te wskaźniki jakości to przede wszystkim wyniki leczenia, czyli leczenie z jak największą szansą wyleczenia przy jak najmniejszym ryzyku powikłań. Musimy wiedzieć, jakie są te wyniki, czyli jaki odsetek chorych jest trwale wyleczony.

Kto będzie to monitorował?

Organizacja Krajowej Sieci Onkologicznej służy temu, żeby

ta ocena, co wielokrotnie podkreślał prof. Jacek Jassem, była niezależnie przeprowadzona, bo to nie może robić instytucja, która obejmuje opieką, bo będzie naturalna skłonność do tego, żeby przedstawiać siebie w jak najlepszym świetle. To musi być ocena wyników prowadzona w oparciu o niezależność i o system, który zbiera informacje w sposób możliwie automatyczny i jednolity w całym kraju.

Czy wiadomo już, jaka to będzie instytucja?

Zapewne NFZ, dlatego że w Polsce mamy jednego płatnika. Obowiązkowi sprawozdawczości są uniwersalne i mamy coraz więcej elektronicznych danych o pacjentach. To są dane zintegrowane w sposób ogólnopolski, których nie można oszukać. Przykładowo - każdy pobyt w szpitalu oznacza nie tylko odnotowanie tego incydentu w bazach NFZ, za co NFZ musi zapłacić, ale również obowiązek przesyłania takich danych na platformę P1, czyli zintegrowaną platformę, która umożliwia pacjentowi dostęp do własnych danych medycznych. I to powoduje, że możliwość gromadzenia danych jest już dzisiaj niepomniernie lepsza niż 5 lat czy 10 lat temu. I wszystko dąży w stronę transparentności wyników w postaci szansy wyleczenia pacjenta z minimalnym ryzykiem powikłań po leczeniu.

Zdarza się jednak, że lekarz musi odstąpić od standardu?

Oczywiście przypilnowanie tych standardów to jest też duże wyzwanie. Jeżeli natomiast odstępujemy od standardów, to ja jako lekarz mogę to zrobić pod warunkiem, że mam wyraźne uzasadnienie, a najlepiej, żeby tego typu decyzja była podjęta przez kilku specjalistów a nie jednoosobowo.

Czyli konsylium?

Konsylia są w tej chwili wymuszone przez system. To dobrze. One muszą się odbywać i ich jakość musi być też monitorowana w odpowiedni sposób. Takimi wskaźnikami jest

np. liczba chorych uczestniczących w konsylium wielospecjalistycznym spośród ogółu leczonych, czy poddanych zabiegom operacyjnym i uzupełniającej np. terapii hormonalnej albo radioterapii u chorych na raka piersi. Dziś dokumenty legislacyjne gwarantują dostęp do centrum leczenia chorób piersi, centrum leczenia nowotworów przewodu pokarmowego. Miejmy nadzieję, w przyszłym roku uda się wprowadzić centrum narządowe dla raka płuca.

Czym różni się takie centra różnią się od zwykłego oddziału?

Jednostki narządowe (w Narodowej Strategii Onkologicznej nazywa się je centrami kompetencji) oferują kompleksową i ciągłą opiekę w konkretnych nowotworach. Dowody wskazują, że skoordynowana opieka narządowa prowadzona „pod jednym dachem” - od rozpoznania, poprzez cały proces leczenia, rehabilitację, opiekę psychologiczną i wychodzenie z choroby - poprawia wyniki leczenia.

Ponoć są też nieformalne centra?

Są i powstają zwłaszcza w dużych szpitalach, w tym w Uniwersyteckim Centrum Klinicznym, zespoły narządowe już funkcjonują niezależnie od rozporządzeń Ministra Zdrowia. W naszym szpitalu mamy m. in. centrum leczenia prostaty, raka tarczycy, chorób trzustki, chorób wątroby, nowotworów endokrynnych - co jest bardzo dużym wyzwaniem, bo tam potrzeba wielu specjalizacji. Szefem jest tam dr Piotr Wiśniewski, który świetnie prowadzi, w oparciu o zasoby wielu klinik, dobrą diagnostykę radiologiczną, nuklearną, kliniki endokrynologii, kliniki onkologii, radioterapii i też inne badanie molekularne.

Czy pacjenci mają robione badania molekularne?

Postęp w medycynie jest tak szybki, że dzisiaj jesteśmy w stanie wykonać profil gene-

*NIE WSZYSTKO DA SIĘ UŁOŻYĆ
W POSTACI TABELKI, ŻE TAKI
NOWOTWÓR TO TAKI TEST, BO TO
ZALEŻY OD SZEREГУ INNYCH
RZECZY*

tyczny nowotworu w ciągu 2-3 tygodni i bardzo ułatwia on podjęcie decyzji dotyczącej postępowania czyli dalszego leczenia chorego w wielu przypadkach. I to się zmienia tak szybko, że na pewno coraz bardziej dokładne profile molekularne będą praktycznie potrzebne w leczeniu większości nowotworów.

Wielu chorych nawet nie słyszało o takich badaniach...

W Polsce nadal możliwości uzyskania wyników badań molekularnych na co dzień są podyktowane, po pierwsze dostępnością do tych badań, która jest nadal bardzo ograniczona, bo brakuje nam placówek diagnostyki molekularnej, a po drugie refundacja jest stosunkowo dobra w przypadku ograniczonych paneli wielogenowych, ale nie zdecydowano się na refundację paneli dotyczących kilkuset genów. A to jest istotne w leczeniu niektórych nowotworów - na przykład raka płuca, raka dróg żółciowych czy raka trzonu macicy. Świat będzie w tę stronę podążał i pewnie nie unikniemy lepszej organizacji w tym zakresie. Powiem tylko, że w Uniwersyteckim Centrum Klinicznym wdrożyliśmy taki panel wielogenowy jako pierwszy ośrodek w Polsce, mając możliwość diagnozowania w tej chwili pacjen-

tów na życzenie lekarza z analizą około pięciuset genów istotnych z punktu widzenia wiedzy na temat biologii nowotworu.

To drogie badania?

Na dzisiaj koszt takiego testu sięga około 6 tysięcy złotych. Jak znaleźć na to fundusze?

Rozumiem, że NFZ musi wydawać pieniądze racjonalnie...

Nie wszystko da się ułożyć w postaci tabelki, że taki nowotwór to taki test, bo to zależy od szeregu innych rzeczy; wieku pacjenta, od pewnych konkretnych konstelacji genów, objawów, rodzinnego zachorowania i tak dalej. Możliwości techniczne wyglądają w Polsce coraz lepiej, natomiast refundacja jak i dostęp do tych badań są bardzo istotne.

A jak jak będzie ta sieć wyglądać na Pomorzu?

Na Pomorzu mamy teraz dwa ośrodki SOLO III, czyli najwyższej kategorii. Pierwszy to Uniwersyteckie Centrum Kliniczne. Drugim jest Szpital im. PCK w Gdyni-Redłowie, należący do spółki Szpitale Pomorskie i dysponujący również pełnoprofilową radioterapią, dobrym leczeniem chirurgicznym w onkologii i pełnym zakresem terapii systemowych.

Ośrodki Leczenia Onkologicznego SOLO I realizują podstawowe świadczenia diagnostyczno-terapeutyczne. Należą do niego Szpital w Chojnicach, Szpital MSWiA w Gdańsku, Pomorskie Centrum Zdrowia w Malborku oraz 7 Marynarki Wojennej. Natomiast do ośrodków SOLO II, które zajmują się leczeniem bardziej złożonych przypadków należą szpitale; w Słupsku, Prabutach, Kościerzynie i Copernicus na Zaspie.

ŻEBY WYGRAĆ Z WROGIEM, MUSIMY DOBRZE WIEDZIEĆ, GDZIE ON JEST. W ONKOLOGII MUSIMY WIEDZIEĆ DOKŁADNIE, CO TO JEST ZA NOWOTWÓR

Lista tych szpitali jest łatwo dostępna m.in. na internetowej stronie UCK.

Zalóżmy, że w Kartuzach jest pacjent z podejrzeniem nowotworu. Wychodzi z gabinetu, ma stos skierowań i nie wie, dokąd ma iść i się zarejestrować. Dzwoni, dowiaduje się, że tomografię mu zrobią... w Elblągu za pół roku. Pacjenci czują się zagubieni...

Dzisiaj ta ścieżka pacjenta jest coraz bardziej uporządkowana. Zarówno lekarz

podstawowej opieki zdrowotnej, jak i lekarz specjalista już na etapie diagnostyki może wystawić kartę diagnostyki i leczenia onkologicznego DiLO. Ta karta jest wystawiona dzisiaj w papierze, natomiast już niedługo będzie wystawiona w sposób elektroniczny. Żeby ułatwić obieg dokumentów z taką kartą DiLO pacjent może zgłosić się do dowolnego ośrodka sieci onkologicznej,

który następnie ma obowiązek w odpowiednim czasie zorganizować diagnostykę oraz ustalić termin konsylium, czy to w ośrodku, czy w ośrodku o wyższym poziomie referencyjności, z którym współpracuje, po to, żeby zachować określone ramy czasowe diagnostyki i rozpoczęcia leczenia już po jej zakończeniu. W tym modelu przewidziano określone terminy na realizację pierwszego etapu drugiego etapu po to, żeby w całości

zamknąć się w okresie około dwóch miesięcy, który gwarantuje w niektórych nowotworach, największe szanse na skuteczne leczenie. Ten model jest wprowadzany coraz lepiej i on będzie modyfikowany tak, żeby okresy oczekiwania były jak najkrótsze, ale też żeby monitorować jakość tej diagnostyki, żeby nie było tak, że coś sobie zlecimy i i czym prędzej začniemy leczyć bo w onkologii jest trochę jak na wojnie. Żeby wygrać z wrogiem, musimy dobrze wiedzieć, gdzie on jest. W onkologii musimy wiedzieć dokładnie, co to jest za nowotwór, gdzie się znajduje, jaka jest jego biologia, czyli profil molekularny i jak go Jak go skutecznie leczyć.

A czy koordynatorzy opieki medycznej są już powołani?

To jest bardzo ważny element opieki skoordynowanej. Mianowicie to są osoby, których zadaniem jest kontakt z pacjentem i ustalenie terminu wszystkich szczegółów.

Na to lekarze nie mają czasu.

Lekarze powinni się zajmować ściśle swoją pracą lekarską. Natomiast teraz każda z tych jednostek, która wchodzi w skład sieci, musi mieć takich koordynatorów i ich posiada. Istotna jest jednak kwestia ich szkolenia i odpo-

wiedniego przygotowania do pełnionej funkcji. Do tego służą krajowe i regionalne spotkania koordynatorów opieki w sieci onkologicznej. Jedno z nich będzie w najbliższym w najbliższym czasie w Gdańsku. Na tych spotkaniach bardzo ważna jest wymiana doświadczeń koordynatorów opieki onkologicznej. Myślę, że jest wiele zadań, które koordynatorzy świetnie realizują i dzięki którym jesteśmy w stanie znacznie skuteczniej i szybciej skoordynowaną opiekę przeprowadzić.

Mówi się bardzo dużo o potrzebie rehabilitacji, bo pacjenci onkologiczni bardzo rzadko dostają skierowanie do sanatorium.

To dość istotne, bo dziś rak to nie jest wyrok i trzeba dać osobom po zakończeniu leczenia możliwość funkcjonowania w społeczeństwie zarówno zawodowego jak i rodzinnego.

Żadna czarodziejska różdżka nie sprawi jednak, że z dnia na dzień opieka onkologiczna w Polsce zacznie funkcjonować na piątkę.

Ale odwrótu od Krajowej Sieci Onkologicznej nie ma. Musimy postawić na jakość, inaczej nie poprawimy wyników.

MATERIAL INFORMACYJNY SPRAWIA

0011422360

Nowe mieszkania na Zaspie tańsze o niemal 80 tys. zł. Rusza limitowana akcja rabatowa



Osiedle Zaspia Wygodnie

Takiej okazji mieszkaniowej w Gdańsku dawno nie było. Deweloper Spravia wprowadza rabaty do 78 112 zł na wybrane mieszkania na osiedlu Zaspia Wygodnie.

Zaspia Wygodnie to nazwa, która mówi sama za siebie. Funkcjonalne mieszkania, dużo zieleni i wygoda życia w ulubionej dzielnicy gdań-

szczan. W ramach osiedla powstają 2 budynki i 225 mieszkań od 1- do 5-pokojowych dla każdego: inwestorów, singli, par oraz rodzin. W bliskiej okolicy znajdują się sklepy, szkoły, ośrodki kultury i przystanek SKM-ki. Limitowana akcja rabatowa to doskonała okazja, by zakupić mieszkanie w jednej z najlepszych lokalizacji w Trójmieście.

– Zaspia Wygodnie to jeden z najciekawszych projektów w naszym portfolio. Teraz, dzięki limitowanej akcji rabatowej mieszkanie można kupić o 78 tys. zł taniej. Tym samym odpowiadamy na potrzeby osób, które szukają połączenia wygody, estetyki i rozsądnej ceny – mówi Dobromiła Kowalczyk, kierownik biura sprzedaży Spravii w Gdańsku.

Na parterze budynków znajdują się lokale usługowe i handlowe, a wokół powstanie mała architektura: ławki, stoliki, leżaki. Na rowerzystów czekać będą stojaki, rowerownia oraz stacja naprawy jednośladów. Z kolei dla najmłodszych przewidziano plac zabaw. Osiedle

utrzymane jest w nowoczesnej stylistyce. Na elewacjach architekci zaplanowali jasną, ponadczasową kolorystykę - beże, biele i szarości. Lekkości bryłom nadadzą cofnięte ostatnie piętra oraz arkady na parterze. Wnętrza części wspólnych będą eleganckie i ponadczasowe.

Liczba lokali w puli promocyjnej jest ograniczona.

Więcej informacji na stronie zaspawygodnie.pl

Kontakt telefoniczny: 585 359 731.



Osiedle Zaspia Wygodnie

BEATA MACIEJEWSKA: NAPIISAŁAM TĘ KSIĄŻKĘ, ŻEBY SIĘ OCZYŚCIĆ

Prokuratura oczyściła mnie z zarzutów, ale po wydaniu tej książki nikt z Nowej Lewicy do mnie nie zadzwonił. Nie jest w interesie partii, żeby o tej książce mówić - opowiada „Dziennikowi Bałtyckiemu” Beata Maciejewska, była pomorska posłanka

Maciej Sandecki

Beata Maciejewska była pomorską posłanką Nowej Lewicy w latach 2019-2023. Tuż przed wyborami w 2023 roku wybuchła afera, w której jej były dyrektor biura oskarżał ją o mobbing i groził ujawnieniem kompromitujących nagrań. Po dwóch latach Maciejewska wydała własnym sumptem książkę „Kulisy lewicy”, w której wyjaśnia jak było i nie zostawia suchej nitki na swoich dawnych koleżankach i kolegach z partii. Najbardziej dostaje się Robertowi Biedronowi, Włodzimierzowi Czarzastemu i Andrzejowi Szejnie. Cała, długa rozmowa z byłą posłanką dostępna będzie w formie wideo na stronie dziennikbałtycki.pl oraz na youtube. Teraz prezentujemy jej skrót.

Cobyło dla pani głównym powodem do napisania tej książki? Chęć pokazania prawdy, rozliczenia się z partią i jej ludźmi? Czy może była to potrzeba osobistego oczyszczenia się z tej złej atmosfery i tego, co panią spotkało?

Sądzę, że to były wszystkie te trzy powody. Oczywiście pierwszy powód był taki, że chciałam odzyskać głos i mówić we własnej sprawie tak jak ją widziałam, ponieważ w zasadzie czułam, że mi ten głos odebrano. W jaki sposób można kogoś odebrać głos? W taki, że kogoś się o coś pomawia i wszystko co ta osoba mówi w przestrzeni publicznej, jest już przetrzeźwione, jest już przetrzeźwione. I z mojej perspektywy wyglądało to strasznie! Chciałam też pokazać Roberta Biedronia, który był moim towarzyszem drogi politycznej przez ostatnie kilka lat. Od osoby, która była ogromną nadzieją dla Polski - do osoby, która obecnie jest euro-parlamentarzystą, ale bardziej „euro” niż parlamentarzystą. Bo bardziej chodzi mi o walutę, niż o politykę.

Dużo jest w tej książce o Robertcie Biedroniu, o waszej drodze



Beata Maciejewska: Teraz mogę powiedzieć - Proszę przeczytać tę książkę, tu są wszystkie odpowiedzi

politycznej, od prezydentury w Słupsku, przez partię Wiosna. Stawia pani tezę, że ta partia od samego początku zakładana była tylko po to, żeby wylansować Roberta Biedronia i jego partnera Krzysztofa Śmiszka, aby mogli wejść do Parlamentu Europejskiego i urządzić się na całe życie. Ostra teza.

Ale moim zdaniem bardzo prawdopodobna! Obserwowałam to z bliska. Robert został prezydentem Słupska, choć wcale tego nie chciał. Wszyscy wiedzieliśmy, że kandyduje na prezydenta Słupska, żeby bardziej się wypromować w swoim okręgu do następnych wyborów europejskich. I zrobił to dobrze! Do drugiej tury przeszedł ledwo ledwo, ale później w ciągu dwóch tygodni podwoił swoje głosy i wygrał z bardzo popularnym w Słupsku posłem PO Zbigniewem Konwińskim, który był tym totalnie zszokowany. Wtedy

zaczęła się prawdziwa przygoda Roberta z polityką. Zrezygnował z mandatu poselskiego, przeniósł się do Słupska, a ja razem z nim. Robiliśmy politykę lokalną, ale w pewnym momencie wiadomo było, że Słupsk jest dla Roberta za ciasny, bo on zawsze chciał być europoseł. Ja wtedy jeszcze tak tego nie widziałam, widzę to teraz z perspektywy czasu, że wszystkie działania były robione właśnie po to. Partia Wiosna w pewnym momencie miała 16 proc. poparcia w sondażach. Jestem przekonana, że Robert bardzo li-

czył na to, że do Parlamentu Europejskiego dostanie się on oraz jego partner Krzysztof Śmiszek, a także Sylwia Spurek i jej partner Marcina Anaszewicz, który był szefem sztabu Wiosny. To miała być taka rodzinna kumulacja. Ale niestety, Śmiszek się nie dostał, zabrakło mu dwóch tysięcy głosów, a mandat zdobył Łukasz Kochut ze Śląska. Przed wyborami Robert powiedział, że odda mandat europosła bo zależy mu na Polsce i Sejmie, ale jak go zdobył to już nie miał żadnego zamiaru go oddawać. To był kluczowy moment, który pogrzebał tę

partię. Okazało się, że Wiosna w ogóle nie jest nastawiona, żeby dalej trwać w polityce. Nie było struktur, zabraniano nowym ludziom zapisywać się do partii. Prawdopodobnie myślał, że jak on się z Krzyskiem dostaną do PE, to już nic nie będzie miało znaczenia i nie będzie musiał opinii publicznej się z niczego tłumaczyć, ponieważ projekt zostanie zwinięty. Ale Krzysiek się nie dostał. I teraz nagle pojawiło się pytanie, co dalej?

Dla wyborców Wiosny i wielu osób, które się w tę partię zaangażowały taka teza może być szokująca. Że ci politycy byli od początku tacy cyniczni, wyrachowani. Idee, które głosili w kampanii wyborczej, były tylko takim opakowaniem? Czy to nie jest trochę krzywdzące?

Robert Biedroń nie wymyślił sobie poglądów, on swoje wartości oczywiście ma, ale

użył projektu partia, żeby ustawić się na całe życie i zrobić to bardzo skutecznie. Jest eurodeputowanym już kolejną kadencję, co oznacza, że ma potężne uposażenie, a po zakończeniu mandatu będzie miał prawo do emerytury eurodeputowanego. Jest postrzegany jako polityk miły, koncyliacyjny, co w polityce europejskiej na tym szczeblu jest bardzo potrzebne. Ale w polityce krajowej nie zrobił już po tem nic, oprócz tego, że za dbało o to żeby dostać się do PE.

Ale czy to dotyczy tylko Biedronia? Czytelnik pani książki może zadać sobie pytanie - halo?! - przecież Maciejewska też w tym uczestniczyła! Zakładała Wiosnę, dostała się do Sejmu i korzystała z politycznych fruktów. A teraz, kiedy jużej w partii nie ma, to postanowiła wybebebszyć brudy. Dlaczego nie wcześniej?

Ja nie szłam do polityki, żeby na niej zarobić. Zaczynałam swoją przygodę polityczną w partii Zieloni 2004, która na scenie politycznej nic nie znaczyła i robiłam to kosztem życia prywatnego, prywatnych pieniędzy. Byłam zaangażowana w wiele projektów, prowadziłam fundację, pieniądze same w sobie nie były moim celem. Moja praca z Robertem zaczęła się od tego, że on się interesował tym, co ja robiłam jako członkini partii Zieloni. Interesował go zrównoważony rozwój, zielona energia, moje publikacje. Kierowała mną chęć zrealizowania tego, o czym mówiłam przez lata. Oczywiście, jak ktoś zostaje parlamentarzystą to nagle wchodzi na zupełnie inny poziom funkcjonowania. Wcześniej jako działaczka, która protestuje przed urzędem z jakąś ulotką wydrukowaną na domowej drukarce, nie miałam takich możliwości. I z tego oczywiście korzystałam, ale robiłam swoją robotę, Gazeta Wyborcza uznała mnie najbardziej aktywną posłanką Pomorza.

FOT. JAKUB STEINBORN

NIE SZŁAM DO POLITYKI, ŻEBY NA NIEJ ZAROBIĆ. ZACZYNAŁAM PRZYGODĘ POLITYCZNĄ W PARTII ZIELONI 2004, KTÓRA NA SCENIE POLITYCZNEJ NIC NIE ZNACZYŁA

Nie wiem czy ta książka powstałaby, gdyby nie doszło do afery taśmowej. Ta afera z pewnością była podstawowym powodem, dla którego ta książka powstawała.

To może przypomnijmy o co w niej chodziło? O co panią oskarżono, a co naprawdę było na nagraniach i jak potoczyły się sprawy sądowe?

Mój najbardziej zaufany pracownik, dyrektor mojego biura poselskiego w pewnym czasie zaczął potajemnie nagrywać nasze rozmowy. Nagrywał je na wiele miesięcy przed odejściem z pracy. Nagrywał nasze rozmowy w biurze i poza biurem, a także nasze rozmowy telefoniczne. W sumie nagrał aż trzydzieści sześć godzin rozmów przez kilka miesięcy. Ina podstawie tylu godzin nagrań skompilował później - The Best of Beata - czyli taka kompilację, na około dwadzieścia osiem minut, moich najbardziej kontrowersyjnych, intymnych wypowiedzi, czyli takie najgorsze rzeczy, które udało mu się nagrać - wulgaryzmy, jakieś plotki czy opinie o innych osobach, w tym znanych politykach Nowej Lewicy. To były wypowiedzi wyrwane z kontekstu, ale dobrze zmontowane. Odszedł z pracy, zrobiliśmy mu w biurze pożegnanie, wyjechał zagranicę, a po kilku miesią-

cach zaczął mnie tymi nagraniami szantażować. Skontaktowała się ze mną prawniczka z najdroższej warszawskiej kancelarii, która reprezentuje oficjalnie polityków Platformy Obywatelskiej i powiedziała mi, że mają takie nagrania od mojego byłego pracownika i że on żąda ode mnie satysfakcji, bo nie wie czy czasem ich nie upubliczni.

Nie podjęłam negocjacji, zwróciłam się o pomoc do kierownictwa partii, powiedziałam im o tym i powstał specjalny zespół kryzysowy do spraw wizerunku. W związku z tym, że nie podjęłam negocjacji, to mój były dyrektor biura, wysłała te skompilowane 28 minut nagrań - The Best of Beata - do kierownictwa Nowej Lewicy. Ja na tych nagraniach wypowiadam się bardzo krytycznie na temat partii i jej kierownictwa, w sposób lekceważący o Włodzimierzu Czarzastym i Robertcie Biedroniu. I kierownictwo partii przestraszyło się, że takie słowa z ust posłanki mogą zostać upublicznione w TVP, zarządzanej wtedy przez polityków PiS. Mój były pracownik groził zresztą, że rozmawia już o tym z kimś z TVP. W związku z tym, że była taka obawa, to partia postanowiła mnie się pozbyć i skierować wyprzedzające zawiadomienie do prokuratury.

Sugeruje pani w książce, że prawdopodobnie była to prowokacja wymierzona w panią tuż przed wyborami, aby wyeliminować panią z kandydowania w wyborach w 2023 roku i że prawdopodobnie nie stał za nią tylko były dyrektor biura, ale ktoś jeszcze. Kto i dlaczego?

Ja nie wiem, jak było, ale wszystkie osoby, które komentowały tę sytuację, wskazywały na jedną osobę, i ja tę osobę wymieniam w tej książce. Ta

jeszcze się toczy, natomiast prokuratora umorzyła docho-dzenie, które przeciwko mnie założyła Nowa Lewica. Oczyściła mnie z podejrzeń o mobbing i w sprawach podatkowych.

Czy po opublikowaniu tej książki ktoś z Lewicy do pani zadzwonił, przeprosił? Jakie były reakcje pani niedawnych koleżanek i kolegów?

Nikt do mnie nie zadzwonił i nikt do tej książki się nie od-

wtedy Gawkowski zadzwonił i wyraził żal, że tak się stało. Natomiast w interesie partii nie jest, żeby o tej książce cokolwiek mówić i na nią reagować. Bardzo mnie rozbawiło ostatnio, gdy w jednej z rozgłośni radiowych usłyszałam, jak Robert Biedroń zapytany o tę książkę przez redaktora, odpowiedział: "Nie czytałem tej książki i powiem panu dla-czego. Dlatego, że Beata Maciejewska jest nadal w moim sercu i ja nie chcę zmieniać zdania na jej temat". Co to znaczy? To znaczy, że Biedroń nie chce się odnosić do faktów. To pokazuje, jak bardzo lewicy ta książka jest nie na rękę.

Czuć w tej książce też gorycz, że partia tak panią potraktowała. Czogoś jeszcze od niej pani oczekuje?

Nie mam żadnych oczekiwań wobec Lewicy, nie mam żadnych planów przywrócenia mnie do tej partii. Nigdy bym do tej partii nie wróciła.

A do jakiejś innej pani zamierza wstąpić?

Jedni uważają, że tą książką zamknęłam już sobie drzwi w polityce, ale jak tak nie uważam. Gdybym tej książki nie napisała, to zawsze można byłoby wracać do tamtej historii. A dla mnie ważne było, żeby się oczyścić, pokazać jak to wyglądało, żeby móc chodzić z

otwartą przyłbicą. Jeśli ktoś będzie miał teraz wątpliwości co do mnie, to mogę mu powiedzieć: „Proszę przeczytać tę książkę, tu są wszystkie odpowiedzi”.

Na koniec zapytam jeszcze o przyszłość Nowej Lewicy. 14 grudnia partia ma wybrać nowego przewodniczącego. Czy pani zdaniem Włodzimierz Czarzasty zostanie odwołany?

Nie ma takiej możliwości. Większość ludzi w Nowej Lewicy to są starzy komuniści, oddani Czarzastemu. Jeśli ktoś liczy, że przewodniczącą mogłaby zostać Magdalena Biejat, albo jakaś inna kobieta-feministka, to są to płonne nadzieje. Ona nie ma żadnych szabel, żadnych struktur. Strukturami regionalnymi rządzi Czarzasty. Biedroń w tej rozgrywce się już kompletnie nie liczy, pracuje w Parlamencie Europejskim, jest zajęty sobą, nie ma już swojej frakcji. Całkowitą władzę ma Włodek Czarzasty, a za sobą starych towarzyszy, bo partię przywrócił do władzy i obiecuje im posady w różnych strukturach zarządzających.

13 listopada o godz. 18 w NOT w Gdańsku odbędzie się spotkanie z Beatą Maciejewską i Joanną Senyszyn, wokół książki "Kulisy Lewicy".

JEŚLI KTOŚ LICZY, ŻE PRZEWODNICZĄCĄ MOGŁABY ZOSTAĆ MAGDALENA BIEJAT, ALBO JAKAŚ INNA KOBIETA-FEMINISTKA, TO SĄ TO PŁONNE NADZIEJE

osoba miała i pieniądze, i ambicje i osobisty motyw, żeby to zrobić, w przeciwieństwie do byłego dyrektora mojego biura. Ktoś musiał mu to sfinansować i mu pomóc.

Były pracownik oskarżał panią o mobbing i o oszustwa podatkowe. Pani poszła z tym do sądu. Jak skończyły się te sprawy?

Niczego mi nie udowodniono. Część spraw, które wytoczyłam pracownikowi biura

niósł, oprócz Krzysztofa Gawkowskiego, obecnego wicepremiera, który zadzwonił do mnie, kiedy prokuratura umorzyła postępowanie. Bo prokuratura publicznie ogłosiła, że mój były pracownik biura poselskiego zrobił to nie po to, żeby zawiadomić o prawdziwym przestępstwie, tylko po to, żeby mi zaszkodzić politycznie. To było wprost napisane w piśmie prokuratury. Więc gdy okazało się, że te wszystkie zarzuty są dęte, to

Dziennik Bałtycki

do kupienia
także
w sieci

Netto



Zielony Okręg Przemysłowy Kaszubia to konkret? Czy jednak idea, bardzo ciekawa, choć wizja, której realizacja obliczona jest na dekady?

Szkoda mi życia na opowiadanie historii, które się nie ziszcza. ZOP Kaszubia to jest zdecydowanie konkret. Myślę, że to będzie widać jeszcze w tym miesiącu. Będziemy ogłaszać pierwsze inwestycje. Pozwolę sobie jeszcze szczegółów nie ujawniać.

Miał być konkret...

Pierwsze setki milionów z zagranicy na inwestycje w Kaszubii to jest konkret.

ZOP Kaszubia ma być centrum gospodarczo-zbrojeniowym zasilanym źródłami energii dostępnymi lokalnie – m.in. morską energetyką wiatrową i energetyką jądrową. Tak brzmiały zapowiedzi. Ale oba energetyczne przedsięwzięcia są w trakcie realizacji i potrzebują czasu...

Pierwszy prąd z morskich farm wiatrowych ma popłynąć już w przyszłym roku. Ale po kolei. W koncepcji ZOP Kaszubia nie chodzi o ekologię, choć projekt oczywiście będzie zielony. Podstawą jest kwestia zrozumienia przyszłości finansowania projektów unijnych. Unia Europejska będzie stale dążyła do tego, żeby projekty, które mają być finansowane z różnych funduszy, miały obligatoryjny komponent w postaci źródeł „zielonej” energii. To będzie wymóg do pozyskania środków na inwestycje w największych instytucjach finansowych, na atrakcyjnych warunkach. To też szerszy element w polityce europejskiej ochrony dostępu do rynku zbytu dla krajów spoza UE. To jest filozofia, która ma sprawić, że ludziom będzie żyło się lepiej, czysto i zdrowo. ZOP Kaszubia jest odpowiedzią na zrozumienie tej filozofii i modelu finansowania przyszłych inwestycji w Europie, który się wydarzy. My to po prostu rozumiemy.

My, czyli rząd, MON...

Tak. I dlatego chcemy aby powstał makroregion gospodarczo-militarny obejmujący basen Morza Bałtyckiego, którego serce będzie tu na Pomorzu, na Kaszubach. I który będzie najważniejszym takim regionem w Europie i jednym z najważniejszych na świecie. Kaszubia to projekt globalny.

Dlaczego tu? Decyduje bliskość portów?

Musimy wreszcie zacząć wykorzystywać naszą geografie, której przecież się nie wybiera. Warto też pamiętać o słowach Winstona Churchilla, który mawiał „nie można zmarnować tak dobrego kryzysu”. To dziś trochę nasza sytuacja. Poza tym jesteśmy w stanie zapewnić na Pomorzu sto procent zielonej energii z cenami niższymi niż gdzie indziej. Jesteśmy też w stanie stąd ści-



Maciej Samsonowicz, doradca Min. Obrony Narodowej, autor koncepcji Zielonego Okręgu Przemysłowego Kaszubia

MACIEJ SAMSONOWICZ: BEZ SILNEJ GOSPODARKI NIE BĘDZIE BEZPIECZNEGO KRAJU

Czasy są takie, że jeśli nie wykonamy dobrze naszej roboty, nie wzmocnimy Polski, to nasze rodziny nie będą bezpieczne. A muszą być – mówi Maciej Samsonowicz, doradca Ministra Obrony Narodowej, autor koncepcji Zielonego Okręgu Przemysłowego Kaszubia, członek Zarządu PSL w Województwie Pomorskim, prezes zarządu PSL w Gdyni

Tomasz Chudzyński

chilla, który mawiał „nie można zmarnować tak dobrego kryzysu”. To dziś trochę nasza sytuacja. Poza tym jesteśmy w stanie zapewnić na Pomorzu sto procent zielonej energii z cenami niższymi niż gdzie indziej. Jesteśmy też w stanie stąd ści-

śle i szybko kooperować na poziomie militarno-gospodarczym z państwami basenu Morza Bałtyckiego, czy np. położoną nieco dalej Norwegią. Pierwszymi rynkami zbytu dla wszystkich fabryk, dla wszystkich zielonych hut, wszystkich przed-

siębiorstw, które będą lokowane w ZOP Kaszubia, będzie właśnie basen Morza Bałtyckiego. I to oczywiście, że bliskość morza ma kluczowe znaczenie. Zyskamy nowe porty nad Bałtykiem, bo ze względu na sytuację geopolityczną zmodernizo-

wane i rozbudowane zostaną min. Gdynia, Ustka oraz Kołobrzeg, a Świnoujście zyska dodatkowe, zewnętrzne terminale. Do tego cała już istniejąca a także planowana ze względu na obronność infrastruktura drogowa, kolejowa sprawią, że to, co zostanie

wyprodukowane w ZOP Kaszubia będzie można, kolo-kwialnie mówiąc, szybko załadować na statek i prze-wieźć do Szwecji, Norwegii, Holandii, Niemiec, Danii i dalej do USA czy Chin. I to jest ten koncept. To są niezwykle mocne fundamenty przemawiające za kaszubską lokalizacją.

ZOP Kaszubia to następstwo Paktu dla Bezpieczeństwa Polski - Pomorze Środkowe. Drugim jest Deklaracja Bałtycka - zobowiązania do wzmocnienia współpracy wojskowej państw NATO w regionie Morza Bałtyckiego. Całość, czyli Tarcza Bałtyk - stanowi „kompleksową inicjatywę wzmacniającą system obronny państwa i rolę Pomorza w architekturze bezpieczeństwa narodowego” - tak pan mówił we wrześniu w Ustce, prezentując strategiczne dokumenty.

To cała koncepcja strategiczna, która opiera się na żywotnej dla naszego kraju konieczności - inwestycji w obronność. Ta strategia zasadza się na Bałtyku - jako akwenie łączącym nas z innymi państwami NATO, w kontekstach obronnych i gospodarczym - logistycznym, transportowym, energetycznym. Nazywamy to Doktryną Bałtycką. Podam przykład - transportem morskim możemy najszybciej dostarczyć do Polski, w razie kryzysu - a właściwie już przed nim, dużą liczbę sojuszniczego sprzętu. Żeby to było możliwe, musimy mieć rozbudowaną sieć portów na Pomorzu Środkowym, bezpieczną żeglugę, czyli min. silną Marynarkę Wojenną i zabezpieczenie w powietrzu. Z kolei personel wojskowy, który będzie sprzętem operował docierać będzie szybko głównie drogą lotniczą i po obsadzeniu np. czołgów, będzie docierał do lokacji wskazanych przez dowództwo. To jest system, całość. I skoro pieniądze trzeba wydać na infrastrukturę na Pomorzu ze względu na obronność, to chcemy wokół tego stworzyć nową architekturę gospodarczą. Sam ZOP Kaszubia ma wspierać odporność strategiczną państwa. Chodzi o to, by uzyskać m.in. suwerenność technologiczną, choćby w kwestii remontów podzespołów techniki ciężkiej, np. silników do czołgów, by nie trzeba było ich w tym celu transportować gdzieś daleko, być może nawet poza kontynent. Co więcej, byśmy mogli naszą produkcję i zdolności sprzedawać za granicę. Generalnie mówiąc: celem tej strategii jest bezpieczeństwo i rozwój kraju. A to są te same punkty, bo bez silnej gospo-

darki nie będzie bezpiecznego kraju.

Co będziemy budować w ZOP Kaszubia? Elektro-niki, drony, elementy systemów raketowych?

Będą to m.in. tzw. wysokomarżowe technologie, dzięki którym będziemy mieli w końcu naszą produkcję zbrojeniową eksportować, a nie tylko importować. Na Pomorzu powstanie dolina dronowa ze szczególnym uwzględnieniem dronów nadwodnych i podwodnych. To tutaj będą powstawały informatyczne data center, które będą analizowały dane, nie tylko dla Polski, ale dla całej Europy, zwłaszcza jeśli chodzi o basen Morza Bałtyckiego. To w ZOP Kaszubia powstaną fabryki zasilane wodorem, który jest technologią przyszłości. Co istotne, zakładamy utworzenie czterech Zielonych Okręgów Przemysłowych na terenie całego kraju, z których każdy będzie miał określoną specjalizację. Kaszubia jest pierwszym, pilotażowym projektem, który jest już realizowany.

Jak przyciągnąć przedsiębiorców do Zielonych Okręgów Przemysłowych? To ważne, bo w niepewny interes nikt się nie włączy.

Podmioty, które mają odpowiadać za wzrost odporności strategicznej państwa i bezpośrednio przekładać się na poziom obronności kraju nie mogą mieć kłód rzucających pod nogi. Procedury przygotowawcze do inwestycji o takim znaczeniu muszą zostać w znacznym stopniu uproszczone, np. w kwestiach środowiskowych. Chcemy, żeby ZOP był „jednym okienkiem” dla inwestora, w którym mógłby uzyskać zgody środowiskowe, uzgodnienia przyłączy energetycznych, koncesje np. na składowanie, przechowywanie amunicji itd. W terenie nie działamy po omacku. Współpracujemy z samorządami na poziomie marszałków i wojewodów. Ale to też wójtowie, burmistrzowie, starostowie wskazywać będą potencjalne tereny produkcyjne. Z nimi oraz z lokalnymi przedsiębiorcami chcemy bardzo mocno współpracować. Po to też powołaliśmy już pierwszy zespół pełnomocników regionalnych na województwo pomorskie. Wkrótce powołamy kolejne takie zespoły w innych województwach.

Droga Czerwona w Gdyni i Via Pomerania z Ustki do Bydgoszczy, ważne inwestycje dla mieszkańców, zostaną zrealizowane w ramach działań wzmacniających

cych obronność państwa, Paktu dla Bezpieczeństwa Polski - Pomorze Środkowe czy też szerzej w ramach koncepcji Tarczy Bałtyk. Przetarg na Drogę Czerwoną ma zostać ogłoszony w przyszłym roku.

Droga Czerwona i modernizacja Estakady Kwiatkowskiego to jest trochę śmieszno-strasna historia. Straszna dlatego, że nasi poprzednicy dostawali przez lata pisma od Amerykanów, w których Ci podkreślali znaczenie Drogi Czerwonej dla wojskowej logistyki w ramach NATO. Nie wiem, co w czasie rządów PiS z tym robiono. Pisma wyrzucano do śmieci, udawano, że ich nie ma? Śmieszne natomiast, że m.in. pan Horała już w 2014 r. wbijał łopatę pod budowę tej drogi, a później nie potrafił zagwarantować, przez osiem lat własnych rządów, finansowania dla tej inwestycji. Widziałem też uśmieški, kiedy w zeszłym roku w Urzędzie Miejskim w Gdyni z posłem Biermackim, z panią prezydent Kosiorek ogłaszaliśmy, że ta inwestycja zaraz będzie. Pracowaliśmy ciężko przez dziesięć miesięcy, żeby środki na ten cel pozyskać. I dzisiaj one są. Znalazł się sposób, znalazło się finansowanie, pozostało dopiąć detale. Impuls w tej sprawie przyszedł z MON-u we współpracy z Ministerstwem Infrastruktury. Bez Drogi Czerwonej transporty wojskowe, nie mogłyby z portu w Gdyni odpowiednio szybko wyjechać, o czym mówili lata temu przedstawiciele wojska. Dlatego tę inwestycję szybko zrealizujemy. W kwestii Via Pomeranii jest trochę inaczej. Amerykanie, już za naszych rządów jednoznacznie wskazywali, że droga z modernizowanego portu w Ustce do Bydgoszczy i dalej jest koniecznością. My opinii sojuszników amerykańskich nie będziemy ignorować. Via Pomerania powstanie, to są nasze zobowiązania sojusznicze. Podobnie jak inne inwestycje wysłane w ramach konsultacji przez MON do Ministerstwa Infrastruktury w ramach przygotowania specustawy o inwestycjach strategicznych. To są decyzje wojskowe, podjęte przez wojskowych, pod kątem militarnej mobilności. Potrzeba Via Pomeranii jest

więc wskazana przez naszych wojskowych, ale też przez Amerykanów.

Prezydent Karol Nawrocki podpisał niedawno uroczyste projekt ustawy dotyczący rozbudowy polskich portów.

Projekt, który pan prezydent był łaskaw przedstawić, w całości popiera działania MON i rządu w sprawie gospodarki morskiej, co jest dobrym znakiem. Problem w tym, że w proponowanych przez niego rozwiązaniach zabrakło zapisów o portach w Ustce i Kołobrzegu. Wydaje się, że osoby, które przygotowywały panu prezydentowi ten projekt nie miały chyba stosownej wiedzy o tym, co się właściwie dzieje. Z drugiej strony bezwzględnie należy przyspieszyć inwestycje w port zewnętrzny w Gdyni. W MON z niepokojem spoglądamy na brak skuteczności przy tej ważnej dla obronności państwa inwestycji. Co jednak ważne, współpraca z Prezydentem Karolem Nawrockim w kwestiach dotyczących obronności i bezpieczeństwa jest bardzo dobra. Kiedy spadły rosyjskie drony prezydent, premier, minister obrony narodowej, minister spraw zagranicznych mówili jednym głosem. To budujące.

Pomorze, Kaszuby są położone blisko rosyjskiego obwodu królewieckiego, miejsc potencjalnego zagrożenia dla instalacji Zielonego Okręgu Przemysłowego. Jest koncepcja ochrony tych miejsc?

Nie jesteśmy z rosyjskim zagrożeniem sami. Razem z państwami NATO, w tym najnowszymi członkami Sojuszu - Szwecji i Finlandii - będziemy tworzyli konstrukcję makroregionu gospodarczo-militarnego na Bałtyku. To nasi wypróbowani sojusznicy, z którymi już wspólnie patrolujemy Bałtyk. Będziemy się nawzajem doskonale pilnować - w tym Gdańsk, Sopot, Gdynię, Pomorze, województwo zachodniopomorskie i kujawsko-pomorskie. Oczywiście podnosimy poziom bezpieczeństwa naszego kraju, MON chce jak najszybciej uzupełniać zdolności naszej armii, których nam brakowało. To choćby kwestia budowy polskiego,

POLSKIE STRONNICTWO LUDOWE JEST NAJLEPSZĄ PARTIĄ DLA LUDZI, KTÓRZY CHCĄ NAPRAWDĘ COŚ ZROBIĆ W POLITYCE, W ŻYCIU SPOŁECZNYM, PUBLICZNYM

autonomicznego systemu antydronowego, służącego wykrywaniu, reakcji na takie zagrożenia. To się będzie działo już wkrótce. Przypomnę też o decyzji wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza o powołaniu komponentu wojsk dronowych. Wyciągamy wnioski, reagujemy szybko na różnego rodzaju zdarzenia. Pojawia się pytanie, dlaczego poprzednicy tego nie zrobili, skoro pełnoskalowa wojna za naszą wschodnią granicą wybuchła w 2022 roku? To, co nas różni od poprzedników, że oni bardzo dobrze i pięknie opowiadali, po czym robili kompletnie nieprzemyślane zakupy, że przytoczę choćby myśliciwe szkolno-bojowe FA50, które kupili bez uzbrojenia. My prezentujemy pewną filozofię myślenia o państwie w kategoriach sprawczości. Nie musimy bić piany, udawać, że coś robimy. Czas są takie, że jeśli nie wykonamy dobrze naszej roboty, nie wzmocnimy Polski, to nasze rodziny nie będą bezpieczne. A muszą być.

Jednak wielu ekspertów krytykowało obecne kierownictwo MON za kontrakt na zakup śmigłowców szturmowych Apache od Amerykanów.

Eksperci mają w wielu kwestiach bardzo dobre spojrzenie. W innych natomiast brakuje im pełnej informacji. Zauważmy, tworzymy jako kraj system sojusznicy, oparty o operacyjne aspekty obrony. Nasze zakupy nie są w tym kontekście oderwane od rzeczywistości, nie są jakimś widzimisię. Tak jest w kwestii śmigłowców szturmowych. Proszę mi wierzyć, każdą decyzję zakupową naszych poprzedników starannie przeanalizowaliśmy. Niektóre były beznadziejnie niedopracowane i nieprzygotowane, niezabezpieczone, nieprzemyślane. Ale niektóre były dobre. Natomiast my dbamy też o pieniądze publiczny. Jeśli w zeszłym roku na pośrednictwie finansowym kontraktów udało się oszczędzić miliard złotych, to jak źle były te kontrakty wynegocjowane? Moim zdaniem w ogóle nie były negocjowane, po prostu je podpisywali.

Mówiliśmy o dronach, systemach antydronowych. Jaki

rodzaj uzbrojenia doradza pan zakupić szefowi MON?

Przyszedłem do MON z myślą następującą: Polska ma mieć suwerenność technologiczną i odporność. Nie chodziło mi więc o wybór konkretnego systemu pola walki, tylko o całościową konstrukcję gospodarczo-wojskową i społeczną państwa.

Czy szef MON ogłosi decyzję w sprawie zakupu okrętów podwodnych w Święto Marynarki Wojennej? Rok temu mówił, że program Orka to kwestia honoru.

Do końca roku ta decyzja zostanie ogłoszona. Dziś mogę tylko powiedzieć, że Władysław Kosiniak-Kamysz wybiera się na Pomorze w związku ze Świętem Marynarki Wojennej.

Jest pan politykiem młodego pokolenia w PSL, szefem jej gdyńskich struktur. Czy ta tradycyjna partia może być ponownie atrakcyjna dla wyborców?

Polskie Stronnictwo Ludowe jest najlepszą partią dla ludzi, którzy chcą naprawdę coś zrobić w polityce, w życiu społecznym, w życiu publicznym. Z kilku powodów. To jest partia bardzo poukładana i niezwykle demokratyczna, w której każdy ma szansę osiągnąć sukces polityczny, przejść każdy szczebel, od najniższego do najwyższego. Ale jest to też partia, chyba ostatnia w polskiej polityce, która pozwala zachować wolność sumienia w sprawach światopoglądowych. Nikt nigdy w tej partii nikogo nie zmusił i nie zmusi nigdy do tego, żeby głosował w niezgodzie z własnym sumieniem. I przy ustawie o statusie osoby najbliższej dyskusji wokół związków partnerskich było to doskonale widać, gdy poseł Agnieszka Kłopotek była jednoznacznie za, a poseł Marek Sawicki jednoznacznie przeciwny. I co z tego? To są rzeczy indywidualne, w tej partii nikt nikogo nie będzie zmuszał do głosowania w niezgodzie z własnym sumieniem. Jako syn jednego ze współzałożycieli Ruchu Młodej Polski nie zgłasowałem kandydaturę Włodzimierza Czarzastego na marszałka Sejmu. To jest niezgodne z moimi wartościami. Ale nikt w PSL-u nie miałby do mnie o to pretensji. Ludzie przychodzą do PSL,

a proszę zobaczyć, co się dzieje w Gdyni, bo chcą mieć pewną sprawczość. To jest najważniejsze. Tematy, które dzisiaj są tymi najbardziej rozgrzewającymi polską politykę, czyli kwestie światopoglądowe, nie wiadomo dlaczego zastąpiły sprawy, które są najważniejsze z punktu widzenia życia publicznego. Na przykład inwestycje, jakość życia, kwestie bezpieczeństwa, kształcenie, zdrowie i tak dalej. W PSL nie zaglądamy ludziom pod kołdrę, nie sprawdzamy kto jakie ma przekonania, tylko czy jest skuteczny w działaniach dla państwa. Dlatego PSL robi robotę. To jest oczywiście partia centroprawicowa, która ma w etosie tradycję, kulturę. A to, że jesteśmy konserwatystami oznacza, że dbamy o państwo, ludzi, o gospodarkę, dbamy o uczciwość i wolność.

PSL jest zazwyczaj niedoszacowany w sondażach, ale na razie ma ok. 5 proc.

Mam w swoim życiu doświadczenia sportowe, w boksie, w szermierce. Gdybym nie wychodził na planszą żeby wygrywać, to jaki był sens w ogóle startować? W PSL będziemy bili się o pierwszy wynik wyborczy. I to nie jest żart. Wzrost zaufania do Władysława Kosiniaka-Kamysza w sondażach pokazuje, że ludzie w niebezpiecznych czasach zaczynają dostrzegać, że ten, kto robi robotę, jest dobrym gospodarzem. A nie jest nim ten, który najgłośniej krzyczy. Z jednej czy drugiej strony politycznego sporu. Nie przeszkadzają też w tym nasze niezwykle dobre relacje z Amerykanami.

Sytuacja w KOWR-ze, która jest odpryskiem od afery CPK, nie zaszkodzi PSL-owi w lifingu? Polityk Ludowców rządzi tą instytucją...

Nie można stawiać znaku równości między przekretem a trwającymi rozliczeniami, między kimś kto kradł a tym, kto go ściga. Ktoś doprowadził do tego, że strategiczna ziemia została sprzedana dziesięciokrotnie czy wręcz dwudziestokrotnie taniej. I wciąż wychodzą kolejne afery, a zamieszane osoby z poprzednich rządów udają, że niczego nie pamiętają. Złodzieja ściga się trochę dłużej, niż trwa kradzież. Ludzie to widzą

Będzie pan prezydentem Gdyni? Takie przymiarki wstępne się pojawiają...

To odległa polityczna przyszłość... Mam jeszcze trochę czasu na decyzję. Natomiast zawsze będę się kierował dewizą „Wszystko zaczyna się w Gdyni - dla Kaszub, dla Pomorza, dla Polski”. ©©

SAM ZOP KASZUBIA MA WSPIERAĆ ODPORNOŚĆ STRATEGICZNĄ PAŃSTWA. CHODZI O TO, BY UZYSKAĆ M.IN. SUWERENNOŚĆ TECHNOLOGICZNĄ

8 LISTOPADA - GDAŃSK - „STRASZNY DWÓR”

Grażyna Antoniewicz

Naszenie Opery Bałtyckiej trwają ostatnie próby „Strasznego dworu” Stanisława Moniuszki, jednej z najczęściej wystawianych w Polsce oper, ukochanej przez widzów. Dlaczego ona tak nas zachwyca?

- Bo porusza najczulsze struny w duszy Polaków, jest gloryfikacją dawnych czasów. Myślimy że teraz może i nie jest najgorzej, ale kiedyś to dopiero było wspaniałe - mówi reżyser Jerzy Snakowski. - To mitologizowanie przeszłości, która nie dla wszystkich była wspaniała. Na przykład położenie chłopów - szlachta uważała iż pochodzą oni od tego gorszego syna Noego, Chama, zaś panowie są wysłannikami Boga, co daje im prawo do traktowania włóścian jak niewolników. O każdej epoce myślimy, że w przeszłości byliśmy

lepsi i ta doskonałość nadal w nas jest, tylko świat dookoła jest zły.

Operę Stanisława Moniuszki „Straszny dwór”, z librettem Jana Chęcińskiego, po raz pierwszy wystawiono 140 lat temu tuż po upadku powstania styczniowego, w 1865 roku. Choć główny motyw intrygi jest raczej lekki i komediowy Moniuszko starannie wykorzystał nastroje społeczne i aluzyjne możliwości libretta, a w warstwie muzycznej oparł się między innymi na tradycyjnej muzyce polskiej: polonezach i mazurach.

Warszawska publiczność szalała z radości, widząc na scenie polskie wojsko śpiewające o walce za ojczyznę, płakała wraz ze śpiewającym arię o zmarłej matce Stefanem (odczytując symbol matki jako Polskę). Zaniepokojona takimi reakcjami rosyjska cenzura po zaledwie trzech, równie burzliwie przyjętych przedstawieniach,

kazała spektakl zdjąć z afisza. Moniuszko nie miał już nigdy zobaczyć na scenie swojego arcydzieła, pisanego z myślą „ku pokrzepieniu serc” Polaków.

Akcja rozgrywa się w murach pełnego tajemnic „strasznego dworu” w Kalinowie. Jego mieszkańcy intrygują, piją, polują, zażywają tabaki, straszą się i kochają. To nie tylko patriotyczna, ale i zabawna opowieść, obfitująca w liczne sceny komiczne i rodzajowe. Jej kanwą jest historia stara jak świat: dziewczyny polują na chłopaków. A nie jest to łatwe łatwe - panowie, Zbigniew i Stefan, przysięgli bowiem wytrwać w kawalerskim stanie. Ale są bez szans - panny - szlachcianki owijają ich sobie wokół małego paluszka.

Na scenie kolorowo i kwietnie, zobaczmy aż 300 pięknych kostiumów.

-Projektując inspirowałam się staropolszczyzną, ale chciałam pokazać je w bardziej nowoczesnej formie, bardziej współczesnym stylu - opowiada scenografka i autorka kostiumów Joanna Borkowska. - Mamy żupany u mężczyzn, u dziewcząt są gorsety i koronki. Kostiumy chłopów uszyte zostały głównie z lnu i surowki, dla szlachty wybrałam jedwabie i szantungi, czyli taftę jedwabną. Kolory są

nietypowe, inspirowałam się polskimi łąkami, chciałam żeby dla widza było to skojarzenie nieoczywiste ale jednak czytelne. W kostiumach chłopów mamy dużo kolorów inspirowanych chabrami i innymi odcieniami polnych kwiatów, (żółcie, fioleto).

- Moje ulubione kostiumy? Pierwszy to suknia Cześnikowej. Reżyser zaproponował, żeby na scenie występowała ona otoczona dziećmi (ma ich czworo), a ja od razu, sama nie wiem dlaczego, wyobraziłam ją sobie w mocnej czerwieni. Starłam się zaprojektować ten kostium tak, żeby od razu było widać, że dzieci są jakby zrośnięte z matką. Mam nadzieję, że spełniłam ten zamysł reżysera. Drugi mój ulubiony to kostium Jadwigi. Ma ona spódnicę z szantungu jedwabnego w srebrzystym odcieniu i cytrynowy gorset z tafty z piękną koronką.

Scenografia jest modułowa, w różnych konfiguracjach oznacza inne miejsce i czas.

- Dzięki przesuwającym modułowym elementom zmieniamy ten świat, przenosimy się w różne miejsca. Tutaj zabawiałam się obrysem architektury, inspirowanej formami dworku w Kalinowie, natomiast sama scenografia jest zbudowana ze



Jerzy Snakowski, reżyser „Strasznego dworu” z wizerunkiem mistrza Moniuszki

stali i bardzo gęstej stalowej siatki.

O wielkim sukcesie „Strasznego dworu” zdecydowały piękne arie, wpadające w ucho rzewne melodie, spektakularny mazur oraz chwytające za serce rytmy tańców narodowych.

- To najwybitniejsze osiągnięcie Moniuszki, jego największa i mistrzowska partytura. mówi reżyser. - „Straszny dwór” jest fantastyczną mieszanką doświadczeń życiowych kompozytora. On tę operę komponował jak miał ponad 40 lat i już miał za sobą większość swoich dzieł.

- Moniuszko doskonale orientował się, co dzieje się na europejskim rynku operowym - kontynuuje Jerzy Snakowski. - Połączenie jego doświadczeń, miłsk opery włoskiej i francuskiej, której był fanem, sprawiło, że powstało dzieło, które jest lekkie i barwne, musujące jak szampan,

jest jak ptasie mleczko oblane gorzką czekoladą.

Nasz rozmówca deklaruje, że chce pokazać też coś bardziej smutnego, pokazać, że żyjemy w takich czasach, gdzie nam się wartości trochę postawiły na głowie, że mylimy spryt z cwaniactwem, dumę z pogardą. Pogardą, które już się wkradła u nas w różne dziedziny życia, każdy żyje jakby w swoim świecie. Taki jest Miecznik - ma żonę, ale w ogóle jej nie zauważa. Dużo wiemy o matce Stefana i Zbigniewa, wiemy coś o ich ojcu. Tymczasem nie ma ani słowa o matce Hanny i Jadwigi - żonie Miecznika, a jest ona piękną postacią, która stara się tę rodzinę scalać.

- Kusi mnie więc by iść z duchem dzieła - pod pozorem kolorowego obrazka pokazać to co boli, a mnie boli pogarda, choć zdaje sobie sprawę, że pogarda to przywara ogólnoludzka, a nie tylko polska. Ale świat nie jest taki zły, niech no tylko zagrają mazura - tańca z pańskich dworów i wiejskich karczm - i dlatego zaczynam i kończę moją inscenizację idealistycznymi obrazami pokojowej wspólnoty. W finałowym mazurze przywołuję mickiewiczowski apel z zakończenia „Pana Tadeusza” - „kochajmy się!”.

„Straszny dwór” wszedł do kanonu kultury polskiej także w licznych swoich fragmentach. Powszechnie znana jest aria Skołuby „Ten zegar stary”, aria Stefana „z kurantem”, duet Zbigniewa i Stefana „Dobrze, dobrze, panie bracie!”, początkowa pieśń „Więc gdy się rozstaniem” czy Mazur z IV aktu.

- Ta opera powinna być przeznaczona dla widzów 18 plus - uśmiecha się reżyser. To jest po prostu nieprawdopodobne, ile tam jest wzmianek o alkoholu, czy zachęcania do stosowania innych używek, mówię tu na przykład o arii o tabace.

Jerzy Snakowski znawca, popularyzator opery, baletu i musicalu, widział różne inscenizacje „Strasznego dworu”.

- Z ważniejszych realizacji jakie oglądałem pamiętam „Straszny dwór” Marka Weissa w Teatrze Wielkim w Warszawie z 1983 r. Pamiętam też inscenizację Roberto Skolmowskiego, którą widziałem dużo, dużo później, już jako dorosły człowiek, w Białymstoku.

Premierę spektaklu zaplanowano na 8 listopada.

REKLAMA 0011428815

AGENCJA MIENIA WOJSKOWEGO

Dyrektor Oddziału Regionalnego Agencji Mienia Wojskowego w Gdyni

działając zgodnie z art. 35 ust. 1 Ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (tj. Dz. U. z 2024 r. poz. 1145 t.j.) informuje, że

na tablicy ogłoszeń w siedzibie OReg AMW w Gdyni (tablica ogłoszeń na I piętrze), został wywieszony oraz opublikowany na stronie Agencji www.amw.com.pl, WYKAZ dotyczący nieruchomości przeznaczonych do oddania w najem w trybie ustnego przetargu nieograniczonego, obejmujący **lokal użytkowy nr 66 o pow. 93,24 m², położony w Gdyni przy ul. Podchorążych 10A**. KW GD1Y/00069729/5.

Wykaz wywieszono na okres od dnia 7.11.2025 r. do dnia 28.11.2025 r. Osobom, którym przysługuje pierwszeństwo w nabyciu ww. nieruchomości - zgodnie z przepisami art. 34 ust. 1 pkt 1 i pkt 2 ustawy o gosp. nieruchomościami (tekst jednolity Dz. U. z 2024 poz. 1145 t.j.) termin do złożenia wniosku upływa z dniem 19.12.2025 r.

Informacje na temat nieruchomości można uzyskać w siedzibie OReg AMW w Gdyni przy ul. M. Curie-Skłodowskiej 19 (pok. 130) tel. (058) 690-87-74.

WYKAZ WYKAZ WYKAZ WYKAZ

REKLAMA 0011428232

AGENCJA MIENIA WOJSKOWEGO

DYREKTOR ODDZIAŁU REGIONALNEGO AGENCJI MIENIA WOJSKOWEGO W GDYNI

INFORMUJE, ŻE OGŁASZA

USTNE PRZETARGI NIEOGRANICZONE NA NAJEM NIERUCHOMOŚCI

POZYCJA 1 – pierwszy ustny przetarg na najem **lokalu użytkowego nr 691** o pow. **38,50 m²**, usytuowanego na parterze budynku Dedal, położonego przy ul. **Gen. de Gaulle'a 5 w Malborku**. KW GD1M/00065497/2.

Stawka wywoławcza: 1 030,00 zł netto Wadium: 3 090,00 zł

POZYCJA 2 – kolejny ustny przetarg na najem **lokalu użytkowego nr 256** o pow. **103,91 m²**, usytuowanego na parterze budynku mieszkalnego, położonego przy ul. **Osiedle na Skarpie 3 w Siemirowicach**. KW SL1L/0004215/1.

Stawka wywoławcza: 790,00 zł netto Wadium: 2 370,00 zł

POZYCJA 3 – kolejny ustny przetarg na najem **lokalu użytkowego nr 257** o pow. **127,67 m²**, usytuowanego na parterze budynku mieszkalnego, położonego przy ul. **Osiedle na Skarpie 3 w Siemirowicach**. KW SL1L/0004215/1.

Stawka wywoławcza: 964,00 zł netto Wadium: 2 892,00 zł

POZYCJA 4 – drugi ustny przetarg na najem **lokalu użytkowego nr 570** o pow. **38,91 m²**, usytuowanego w części piwnicznej budynku mieszkalnego, położonego przy ul. **Marty Aluchny Emelianow 4 w Słupsku**. KW SL1S/00107639/7.

Stawka wywoławcza: 750,00 zł netto Wadium: 2 250,00 zł

Przetargi odbędą się dnia 26.11.2025 r.:

Pozycja 1 - godz. 10⁰⁰, Pozycja 2 - godz. 11⁰⁰, Pozycja 3 - godz. 12⁰⁰, Pozycja 4 - godz. 13⁰⁰ w siedzibie OReg AMW w Gdyni, ul. Marii Curie-Skłodowskiej 19, sala konferencyjna (III piętro).

Warunkiem dopuszczenia do uczestnictwa w przetargu jest wpłacenie wadium w formie pieniężnej, w terminie do **21.11.2025 r.** na rachunek bankowy OReg AMW w Gdyni w BGK 54 1130 1121 0006 5589 8520 0008.

Pełna treść ogłoszenia znajduje się na tablicy ogłoszeń OReg AMW w Gdyni (I piętro) i na stronie www.amw.com.pl. Szczegółowych informacji dotyczących przetargu udziela Dział ds. Nieruchomości OReg AMW w Gdyni przy ul. Marii Curie-Skłodowskiej 19, I piętro pok. 130, tel. (58) 690-87-74, e-mail: gdynia@amw.com.pl.

PRZETARG PRZETARG PRZETARG PRZETARG

REJSUNKI



PULS

#189

**Młody Polak
na stałe
w domu**
Str. 22-23



Dwie piąte młodych ludzi wciąż mieszka ze swoimi rodzicami. Nawet jeśli już pracują, nie stać ich na własne mieszkanie albo zarabiają zbyt mało, żeby się utrzymać. Są sami, bo ponad 40 proc. osób w wieku 20-39 lat nie ma stałego partnera czy partnerki, a po co wyprowadzać się z rodzinnego domu, skoro nie ma z kim dzielić swoich czterech kątów?

Poza wszystkim: młodym dobrze u mamy

Dorota Kowalska

MŁODZI DOROŚLI, CZYLI NIE MA JAK U MAMY...

Kacper, 29 lat, czarne, króciutkie włosy, ciemne oczy, korpulentny. Wrocławianin z dziada pradziada. Skończył technikum elektroniczne, potem trzy lata studiował pedagogikę. Pracuje, całkiem nieźle zarabia. Mieszka w trzypokojowym mieszkaniu z młodszym bratem Antkiem i rodzicami. Ci właśnie zrezygnowali z sypialni i przearanżowali na pokój dla Antka, żeby bracia nie musieli już spać na piętrowym łóżku.

- Nie myślę o wyprowadzce - przyznaje Kacper. - Sam też włożyłem trochę pieniędzy w remont mojego pokoju, po tym, jak Antek mnie opuścił - wybuchając śmiechem. I dodaje, że to był dla niego wielki dzień, bo dzielenie z kimś piętnastu metrów kwadratowych do łatwych nie należy. Swoją sypialnię odmalował, kupił w Ikea nową szafę, biurko i porządne łóżko.

- Niby po co miałbym się wyprowadzać? Poza tym nie stać mnie na to. Kredyt czy wynajem, to dwa tysiące złotych mniej w portfelu, co najmniej. Do tego dochodzą opłaty, wyżywienie, jakieś ciuchy. Niewiele by mi z pensji zostało - tłumaczy.

- Dwa tysiące na rozrywki to mało? - dopytuje.

- Mało. Przecież musiałbym coś jeszcze odłożyć na wyjazdy, czy wakacje - tak odpowiada.

I dodaje, że nie ma dziewczyny, więc nie ma ciśnienia na intymność, jak to określa. Rodzice są w porządku, nie suszą mu głowy, kiedy wraca późno, w końcu jest dorosły. Zresztą, nie szaleje. Po pracy najczęściej gra na komputerze, obejrzy jakiś serial na Netflixie, dwa razy w tygodniu chodzi na siłownię, w weekendy spotyka się z kolegami, czasami wychodzi na większą imprezę.

- Daję mamie 500 złotych na życie, tyle chciała - mówi. Brudne ciuchy wrzuca do wspólnej pralki, obiad ma ugotowany, opłatami się nie martwi. Na miesiąc jada od czasu do czasu, naj-

częściej, kiedy wychodzi z kumplami. Ci też mieszkają u rodziców. Tylko Kuba wziął kredyt i kupił kawalerkę w starej kamienicy. Właśnie ją remontuje.

- Nie wiem, po co mu to było. Będzie ten kredyt spłacał do końca życia - Kacper wzrusza ramionami.

Na razie nie myśli o przyszłości, o tym, kiedy się wyprowadzi od rodziców. Przyjdzie na to czas, pozna kogoś, wtedy będzie myślał. Czasami, jak mówi, życie samo pisze scenariusze.

Zbyt droga dorosłość

Typowy młody człowiek przed trzydziestką, chciałoby się powiedzieć. Z najnowszego badania CBOS wynika, że od 2005 roku z 29 proc. do 39 proc. wzrosła liczba młodych Polaków stanu wolnego mieszkających z rodzicami lub opiekunami. To prawie dwie piąte!

„Niezależnie od grupy wiekowej to mężczyźni nieco częściej niż kobiety pozostają w domu rodzinnym. Zauważyć jednak można, że wraz z wiekiem odsetek mężczyzn gniazdowników spada, a kobiet - wzrasta” - podkreślili autorzy badania.

„Gniazdownicy”, jak tłumaczy CBOS, to osoby w przedziale wiekowym 25-34 lata, które mieszkają z rodzicami, nie mają współmałżonka i same nie są rodzicami. Zgodnie z przyjętą definicją do gniazdowników nie zalicza się osób rozwiedzionych i wdowców.

Badanie wykazało, że 59 proc. gniazdowników to osoby w przedziale wiekowym 25-29 lat. „Można przypuszczać więc, że gniazdownicy to częściej osoby, które stosunkowo niedawno skończyły studia i nie mają jeszcze stabilnych dochodów, co wiąże się z koniecznością korzystania ze wsparcia rodziców” - oceniło CBOS.

Autorzy badania zauważają, że osoby pracujące nie zawsze zarabiają tyle, by móc samodzielnie się utrzymać. Może dlatego 13 proc. pytanym częściowo lub w pełni korzysta z materialnej

pomocy rodziców. Zdecydowana większość pracujących (87 proc.) ma jednak zarobki pozwalające na całkowitą niezależność finansową, a mimo to nadal mieszka z rodzicami.

Dwie trzecie niepracujących (66 proc.) częściowo korzysta ze wsparcia finansowego rodziców.

Największy odsetek badanych zadeklarował, że nie planuje wyprowadzać się od rodziców albo że zrobi to w bliżej nieokreślonej przyszłości (po 32 proc.). 18 proc. ankietowanych planuje opuszczenie rodzinnego domu w nadchodzącym roku, a 15 proc. w ciągu dwóch, trzech lat.

Dlaczego właściwie gniazdownicy zostają w rodzinnych domach?

„Najliczniejsza grupa wymienia jako powody czynniki ekonomiczne, a więc brak mieszkania (51 proc.), niższe koszty utrzymania (42 proc.), brak wystarczających dochodów (39 proc.) oraz brak pracy (4 proc.)” - czytamy w raporcie. Niektórzy wciąż studiują, chodzą na uczelnię, zdają egzaminy, nie mają więc szans na samodzielność, taki właśnie powód mieszkania u rodziców wskazał co dziesiąty gniazdownik (11 proc.).

Niemal połowa odkłada start w samodzielne życie z powodu dobrych warunków mieszkaniowych w domu rodziców (48 proc.), a co piąta - z powodu wsparcia w codziennych obowiązkach z ich strony (21 proc.). Jedna trzecia pytanym (32 proc.) uzasadnia swoje pozostawanie w rodzinnym gnieździe brakiem własnej rodziny, 21 proc. nie opuszcza domu ze względu na przywiązanie emocjonalne

do rodziców, a 14 proc. ze względu na to, że wymagają oni pomocy.

Najrzadziej wymienianym powodem jest sprzeciw rodziców wobec wyprowadzki dziecka (1 proc.).

Grunty do samodzielności

Julia, 28 lat: wysoka, szczupłutka, wygadana. Wyprowadziła się od rodziców na drugim roku studiów. Pomimo że mieszkają w tym samym mieście - Poznaniu - i również tam studiowała, pomyślała, że to był dobry czas na zmiany.

- Dzięki temu, że zacząłem pracować prawie na cały etat, byłem w stanie wynająć pokój. Choć łączenie dziennych studiów i pracy w takim wymiarze wydawało się ciężkie, paradoksalnie, było to możliwe dzięki pandemii i przeniesieniu nauki do Internetu, studiowałam tak naprawdę online - opowiada. - Nie wyobrażam sobie, żeby w wieku dwudziestu paru lat cały czas mieszkać z rodzicami - dodaje szybko.

Jej zdaniem czas studiów to odpowiedni czas na stawianie pierwszych kroków w „dorosłym” życiu, uczeniu się odpowiedzialności.

- Moi rodzice są w porządku, tolerancyjni, ale mimo wszystko potrzebowałam więcej prywatności, intymności. Mieszkając w bloku, miałam oczywiście u rodziców swój pokój, ale nie czułabym się dobrze, gdyby znajomi siedzieli u mnie do północy, wychodzili do ubikacji czy kuchni - tłumaczy.

„Na swoim” musiała radzić sobie sama: prać, sprzątać, gotować i trzymać rękę na kieszeni.

**WIĘKSZOŚĆ PRACUJĄCYCH
(87 PROC.) MA ZAROBKI
POZWALAJĄCE NA NIEZALEŻNOŚĆ
FINANSOWĄ, A MIMO TO NADAL
MIESZKA Z RODZICAMI**

Co ciekawe, nawet znajomi, którzy posiadają własne mieszkania i są w związkach, nie zdecydowali się jeszcze na ich sformalizowanie. Nie czują takiej potrzeby. Nie są gotowe emocjonalnie, finansowo, by zakładać rodzinę. Inna sprawa, że ślub i wesela to spory wydatek.

- Nie mówiąc o dziecku. Niestety, dziecko to dobro luksusowe, na które młodzi dorośli nie są w stanie sobie pozwolić. Jednocześnie w dzisiejszych czasach kobiety nie odczuwają przymusu, by zakładać rodzinę i rodzić dzieci. Mogą to zrobić, gdy poczną się gotowe - tłumaczy Julia. I dodaje, że można żyć, mieszkać ze swoim partnerem bądź partnerką przez wiele lat bez ślubu i bez dzieci.

Inne priorytety

Priorytety młodych ludzi mocno się zmieniły. Badanie przeprowadzone przez prof. Dominikę Maison z Wydziału Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego wykazało, że w młodszych pokoleniach wyraźnie maleje znaczenie rodziny i rodzicielstwa. O ile jeszcze w pokoleniu tzw. baby boomers, czyli osób urodzonych przed 1965 roku, około 70 proc. respondentów wskazało rodzinę jako jeden z życiowych priorytetów, to w generacji Z (urodzeni w latach 1995-2012) było to tylko 45 proc. Młodzi - jak wynika z badania - częściej stawiają na cele materialne - 35 proc. chce mieć dużo pieniędzy, a 30 proc. zakłada osiągnięcie sukcesu zawodowego.

Także badanie „Zdrowie emocjonalne osób z pokolenia Z i milenialów, co porusza młode Europejki i młodych Europejczyków”, przeprowadzone w czerwcu 2023 roku przez firmę Merck wśród osób w wieku 19-25 i 26-36 lat z 12 europejskich krajów, w tym z Polski, pokazuje, że pokolenie Z i milenialsi stawiają dziś na relacje osobiste, zdrowie emocjonalne i fizyczne.

Młodzi cenią sobie kontakty z drugim człowiekiem. Te rzeczywiste, a nie wirtualne, tworzone w mediach społecznościowych. W trosce o dobrą kondycję fizyczną dbają o odpowiednią ilość snu i odpoczynku (79,2 proc.), regularnie ćwiczą (76,5 proc.), wdrażają zdrowe nawyki żywieniowe i odpowiednią dietę (66,1 proc.).

Rodzina, dzieci - nie są dla nich priorytetem. Młodzi mają plan na swoje zawodowe kariery, bo praca jest dla nich ważna. Oczekują w niej dobrej atmosfery (90 proc. badanych), możliwości zachowania równowagi między życiem prywatnym i zawodowym (86 proc.), zaufania, wsparcia i nowych wyzwań (85 proc.), możliwości awansu i dalszego rozwoju (82 proc.).

Kolejni naukowcy tylko potwierdzają te obserwacje, bo także z badań przeprowadzonych przez IReCentrum oraz Katarzynę Krzywicką-Zdunek i Dorotę Peretiatkowicz, twórczynię



Z badania CBOS wynika, że młodzi zostają z rodzicami głównie z powodów ekonomicznych, ale zdaniem socjologów i demografów powód jest jeszcze jeden. W Polsce mamy dzisiaj około ośmiu milionów singli

platformy instagramowej socjolożki.pl. wynika, że trzech na czterech młodych dorosłych w wieku od 16. do 35. roku życia wśród najważniejszych wartości w życiu wymienia zdrowie psychiczne, poczucie bezpieczeństwa, akceptację partnera lub partnerki oraz wolność.

Wyprowadzać się czy nie?

Tymczasem wyprowadzka z domu to poważna decyzja i wiadać to także w sieci.

Intewrnutaut1: „Moja sytuacja wygląda następująco. Mieszkam w Warszawie z dwiema starszymi siostrami i rodzicami. Od dłuższego czasu zastanawiam się nad wyprowadzką. Obecnie pracuję w jednej firmie od roku, na umowę-zlecenie. W domu z rodzicami mam średni kontakt, szczególnie z ojcem, który ma dość autorytarny podejście. Tzn. wszystko powinno być po jego myśli. Do 18. roku życia musiałem jeździć z rodzicami wszędzie. Nie miałem wyboru. Rodzice nigdy nie jeździli na wakacje. Zawsze jeździliśmy do babci na wieś. Dosłownie kilka razy nad morze i to tylko dlatego, że moja mama ma tam siostrę, u której mogliśmy zamieszkać. W obecnym mieszkaniu mam swój pokój. W łódzce jest zawsze podstawowe jedzenie, nie muszę dokładać do rachunków. Z drugiej

strony, o ile w tygodniu wracam z pracy, rodzice się mnie czepiają o małe rzeczy typu: porządek w pokoju (są strasznie pedantami), ojciec się czepia nawet, jak talerze się suszą na suszarce do naczyń przy zlewie, bo według niego powinno się je od razu wycierać i chować do szafki. Lubię sobie przynajmniej raz w tygodniu zrobić coś niezdrowego np. pizzę w piekarniku i ojciec mnie straszy, że mi odłączy ten piekarnik, bo za duże rachunki przeze mnie przychodzą. Muszę się z tym kryć jak gówniarz. Są to drobne rzeczy: np. pralka nie może być włączona po 22.00, nie mogę pojechać na rower na ścianie w pokoju, bo takich rzeczy na ścianie się nie wiesza. W praktycznie każdy weekend słyszę pytanie, czy jadę na wieś, jak mówię, że nie – to mają pretensje, że się odłączam do rodziny. Powiem szczerze, że zrobiłem się na tyle dziki, że w przypadku, gdy zostaję sam na weekend w sobotę i niedzielę siedzę w domu, oglądając filmy, mecze i tą samotnością się po prostu napawam. Czasami myślę, że potrzebuję odpocząć, oderwać się. Ostatnio rozmawiałem z nimi o wyprowadzce, byli strasznie zaskoczeni i stwierdzili, że skoro mam za dużo pieniędzy i mi źle z nimi, to mogę się wyprowadzić. Ojciec zapytał tylko, kiedy ma mnie wymeldować jak taki mądry je-

stem i żebym nie liczył na żadną pomoc jak się zdecyduję. Wyprowadzić się według nich powinienem dopiero wtedy, jak skończę szkołę i znajdę żonę. Tylko sytuacja wygląda tak, że ja nawet dziewczyny nie miałem do tej pory i czuję się strasznie ograniczony. Powiem szczerze, że na co dzień są to duperele, które wyolbrzymiam i w mojej rodzinie nikt się nie wyprowadzał, jeżeli nie musiał np. na studia czy do pracy, więc to jest trochę dzwon dla rodziców i pewnego rodzaju pionierstwo z mojej strony. Miał ktoś podobną sytuację, warto się wyprowadzić? Na początek myślę, że będzie to pokój, może kiedyś kawalerka gdzieś pod Warszawą. Co daje według Was wyprowadzka? Czy warto podjąć ryzyko?

Internauta2: „Mój syn miał nadopiekuńczą mamę... Po trzecim roku wziął dziewczinę i z kolegami pojechał do Anglii, do roboty. Jak stwierdził po powrocie, dopiero tam zobaczył, jak wygląda samodzielne życie. W ciągu półtora roku poszedł „na swoje”. Początkowo wynajmował. Ja ci radzę: rób jak chcesz, ale ja bym się wyprowadził! Im szybciej, tym lepiej. Z rodzicami nie zrywaj, bo czasem bywają pomocni w potrzebie. Powodzenia”

Internauta3: „W twoim wieku wyprowadzka z rodzin-

ego gniazda to normalna rzecz. Czujesz się stłamszony przez apodyktycznych rodziców, pragniesz niezależności i życiowej swobody, więc usamodzielnienie się jest logiczną decyzją. Jeśli tylko zarobki pozwalają ci na samodzielne utrzymanie, to się wyprowadzaj. Tylko nie pal za sobą mostów, tzn. nie pokłóć się z rodzicami na pożegnanie, nie czyni im wyrzutów, tylko spokojnie zakomunikuj im swoją decyzję i wyjaśnij jej przyczynę, tak jak opisałeś je tutaj. Nigdy nie wiadomo, czy nagle nie stracisz pracy albo nie zaoferują ci roboty. Wróć do rodziny, jeśli będziesz musiał. Myślę, że twój apodyktyczny ojciec w końcu zaakceptuje twoją decyzję i zrozumie, że wychował zdrowego emocjonalnie, samodzielnego syna, a nie minysynka kurczowo trzymanego przez rodziców. W tym co piszesz szczególnie: „W łódzce jest zawsze podstawowe jedzenie, nie muszę dokładać do rachunków”. Nie dobrze, że nie dokładasz się do rachunków. Jesteś dorosłym człowiekiem, pracujesz i zarabiasz, więc w miarę swoich możliwości finansowych powinieneś uczestniczyć we wspólnych wydatkach, a nie żyć na koszt innych. W ten sposób także pokażesz rodzicom, że już nie jesteś nastolatkiem na ich utrzymaniu, tylko zdolnym

do samodzielnego życia młodym mężczyzną”

Internauta4: „Jak masz znaleźć żonę, skoro mieszkasz z rodzicami i to jeszcze takimi, którzy Cię mocno kontrolują? A, już wiem, rodzice Ci znajdą. Nieistotne, czy Tobie się będzie podobała, ważne, żeby pasowała rodzicom. Przelicz dokładnie, czy będziesz w stanie sam się utrzymać, zrób sobie poduszkę finansową w wysokości półrocznych wydatków i idź na swoje”.

Epidemia singli

Wprawdzie z badania CBOS wynika, że młodzi zostają z rodzicami głównie z powodów ekonomicznych, ale zdaniem socjologów i demografów, powód jest jeszcze jeden. Mateusz Łakomy, ekspert ds. demografii w programie „To nie takie proste” Grzegorza Sroczynskiego wypowiedział się na temat dzieciństwa w Polsce. Jego zdaniem wpływ na niską demografię ma między innymi sposób dobierania się w pary oraz wyższe wykształcenie kobiet, które nie chcą się wiązać z mężczyznami o niższym statusie.

- Dzisiaj prawdopodobnie mamy ponad 40 proc. osób w wieku 20-39 lat, czyli w wieku, gdzie rodzi się zdecydowana większość dzieci, które nie są w związku - stwierdził ekspert.

Dokładnie tak. W Polsce mamy dzisiaj około ośmiu mi-

lionów singli. Już w cztery lata temu naukowcy z Politechniki Warszawskiej przewidywali, że do 2030 roku aż 36 proc. populacji w Polsce będą stanowić osoby żyjące w pojedynkę. Według danych część z nich świadomie decyduje się na samotność, postrzegając ją jako komfortową alternatywę wobec budowania relacji. Inni chcą, ale nie potrafią znaleźć odpowiedniego dla siebie partnera. Przyczyn „singlozy” jest wiele, rolę grają i zmiany społeczne i indywidualne postawy. Poza tym małżeństwo, o czym wspomniała Julia, nie jest już postrzegane jako obowiązek, ale jako wybór. Młodzi ludzie żyją w przekonaniu, że trwały związek wcale nie musi zapewnić im szczęścia i spełnienia. Są bardziej skoncentrowani, o czym już wspomnieliśmy, na samorealizacji, karierze zawodowej, rozwoju osobistym, relacji z innymi. Niektórzy mają złe doświadczenia związane z trwałymi związkami nie tylko swoimi, ale też tymi znajomych czy przyjaciół.

Więc wielu singli, jak Kacper, zadaje sobie pytanie: Po co wyprowadzać się z rodzinnego domu, skoro nie ma z kim dzielić swoich czterech kątów?

Anna mieszka z rodzicami w małej miejscowości, właściwie wiosce, pod Lublinem. Jest singielką.

- Ale nawet, gdybym z kimś była, mieszkabym z rodzicami - tak mówi. I tłumaczy, że w jej miejscowości domy są wielorodzinne i z rodzicami zawsze ktoś zostaje. Siostra i brat już się wyprowadzili, wynajmują mieszkania w Lublinie, padło na nią.

- W naszym rodzinnym domu mogą mieszkać dwie rodziny, w ogóle sobie nie przeszkadzając, nie wchodząc sobie w drogę - tłumaczy.

Nie ciągnie ją „na swoje”. Tu ma własny pokój, a pewnie jak kiedyś założyła rodzinę, dostanie całe piętro. Ma z kim pogadać, poradzić się, bliscy są obok. Dokłada się do rodzinnego budżetu, co miesiąc daje mamie tysiąc złotych, nie chce być na czymś garnuszku. I tak, jak mówi, jest do przodu. Nie spłaca kredytów, nie płaci za wynajem, nie opłaca rachunków.

- Nie szukam męża na siłę, to już nie te czasy, że trzeba było wyjść za mąż przed trzydziestką, bo inaczej wszyscy wytykali cię palcami - wybucha śmiechem.

Skończyła studia, ma pracę. Wychodzi ze znajomymi do kina, na imprezy, jeździ na koncerty, spotka kogoś - to dobrze, nie spotka - trudno. Rodzice w niczym jej nie przeszkadzają, nie marudzą, nie zrzędzają, nawet lepiej, że są obok. Czuje się pewnie, bezpiecznie.

- A kiedyś rodzice i tak będą wymagać pomocy, więc tak czy tak ktoś z nas, z rodzeństwa, musiałby być blisko - mówi.

Więc dobrze jest jak jest. Mieszka z rodzicami i to się nie zmienia.

Agaton Koziński

NIEKOŃCZĄCY SIĘ AMBARAS
Z II LISTOPADA

Pewnie większość z Państwa zna to uczucie. Stoicie do zdjęcia, uśmiechacie się, ale nie wiecie, jak ułożyć ręce. Złożyć je na piersiach? Żle, pozycja zamknięta. Spleść za plecami? Też niedobrze, bo do przodu wypina się brzuch. Złożyć jak do modlitwy? Pewnie najbezpieczniej, ale z drugiej strony impreza u kuzynki to nie kościół. Tak naprawdę nikt nie wie, co w takiej sytuacji z rękoma zrobić - i w efekcie zwykle zwisają bezwładnie u boków, siłą grawitacji przyciągane do ziemi.

Tak samo jest ze Świętem Niepodległości. Oczywiście, 11 listopada to dzień ważny, historyczna rocznica, wspomnienie przełomowego wydarzenia. Ale bardziej konkretnie? W tym miejscu zapada krepujące milczenie. Niby każdy „My, Pierwsza Brygada” zna na pamięć, ale kultury wspólnego śpiewania - poza kościołami - w Polsce nie ma. Podobnie jak nie ma żadnych zwyczajów związanych z tym dniem. Będąc prezydentem, Bronisław Komorowski próbował wypromować wpinanie tego dnia biało-czerwonych kotylionów, ale do kanonu polskich tradycji to nie weszło. Poza tym pustka.

*

Kłopot z 11 listopada był od początku. Ten dzień stał się świętem państwowym stosunkowo późno, bo dopiero w 1937 r. Słabnąca politycznie sanacja szukała sposobu, by móc odwołać się do swego mitu założycielskiego i taki na to wymyśliła sposób. Później ta rocznica odżyła w latach PRL-u; świętowała ją opozycja antykomunistyczna, a ówczesna władza obchody pacyfikowała. Fakt, że dziś 11 listopada nie pracujemy, to pokłosie tej komunistycznej tradycji i tylko pośrednie nawiązanie do II RP - ale też to wspomnienie o latach walki z komuną nie jest do końca czytelne, bo dniem wolnym 11 listopada stał się decyzją Sejmu jeszcze w PRL-u. Komuniści liczyli, że taką koncesją wobec opozycji trochę uspokoją nastroje. Nic im to nie dało - ale święto pozostało.

Te pogmatwane dzieje sprawiały, że tak naprawdę nikt się z tym dniem nie identyfikował. Po 1989 r. długo funkcjonowało jako dogrywka do Wszystkich Świętych - było równie nostalgicznie i żałobnie jak 1 listopada. W końcu wolny dzień wykorzystał ruch narodowy, wchodząc w tę przestrzeń ze swoim marszem. Bo w polityce życie też nie znosi próżni.

*

Faktem jest, że dziś jedna opcja polityczna 11 listopada zmonopolizowała. Tylko proszę nie traktować tych słów jako mojej krytyki działań ruchów narodowych - z tej możliwości przecież mogli skorzystać wszyscy, ale tylko oni mieli pomysł i dziś korzystają z premii za niego. Po prostu wykorzystali dziwną bezradność związaną z obchodami 11 listopada.

Tutaj bardziej się zastanawiam, skąd ta bezradność się brała? Światło rzuciła na to inna tegoroczna rocznica: 1000 lat koronacji Bolesława Chrobrego. Pamiętacie Państwo? Rząd o niej zapomniał, ale ludzie huczeli o tym od początku roku - ostatecznie zmuszając władze do działań upamiętniających zdarzenia z 1025 r. I to się wszystkim spodobało. Moim zdaniem z prostej przyczyny: bo rocznica koronacji jest rocznicą naturalną, a 11 listopada rocznicą sztuczną. Polska przecież istnieje ponad 1000 lat, a nie ledwie lat 107. To właśnie stąd się brał ten ciągły ambaras z obchodami 11 listopada. Polacy - tak bardzo wrażliwi na rocznice historyczne - tej daty nie czuli jako ważnej. I pewnie już nie poczują.

Dlatego warto by pomyśleć o zamianie 11 listopada z 18 kwietnia. Dzień koronacji lepiej wpisuje się w nasze dzieje, pełniej oddaje specyfikę Polski. Tylko kilka krajów w Europie ma ponad 1000 lat ciągłości państwa. Polska jest w tym elitarnym gronie, a nie ma w nim choćby Wielkiej Brytanii, Włoch czy Niemiec. Tym bardziej warto się tym chwalić i to fetować.

Adam Bula

OSTATNIA STRZELANKA
SZERYFA

Notuję te uwagi kilka godzin przed tym, nim się okaże, czy Zbigniew Ziobro stawi się na komisji, a dzień później przed całym Sejmem, decydującym o jego immunitecie. I wiecie co? - kompletnie mnie to nie obchodzi. Wystarczy mi info, że szeryf PiS-u stanął przed takim dylematem.

Partii prezesa Kaczyńskiego wyraźnie ostatnio nie idzie, co po części wynika z tego, że coraz wyraźniej traci tzw. słuch społeczny. Mówiąc prościej, opowiadają tak dzikie historie, że nawet ich twardzi zwolennicy zaczynają się łapać za głowę. Pomysł, by w temacie Ziobry brać Suwerena na litość, jest klasycznym tego przykładem.

Ta opowieść rozwijała się przez ostatnie miesiące jak film katastroficzny z niemiłosiernymi dłużyznami. Podleczonej z ciężkiej choroby Zbigniew Ziobro kiwał się z komisją śledczą ds. Pegasusa, która z kolei kiwała się głównie sama z sobą. Gdzieś w głębokim tle, jeszcze za Bodnara, kwity zbierali prokuratorzy badający całość dokonań związanych z Funduszem Sprawiedliwości, którym w dniach chwały bawili się Ziobro ze swoją ekipą.

Film był tak słaby, że większość widzów przysypiała, co tuż z tzw. czwartej władzy wyjątkowo zgodnie (i wyjątkowo mylnie) interpretowały w komentarzach nachalnym zakłębieniem: ludzie wcale nie czekają obiecanych rozliczeń. To tylko problem platformerskich ekstremistów spod znaku „Silni Razem”, których dla spokoju żyjących dobrze przy każdej władzy publicystów należy spacyfikować. A tu zonk. Ludzie - zwłaszcza ci głoszący na Koalicję 15 X - owszem, chcą rozliczeń, ale takich, które cokolwiek i kogokolwiek skutecznie rozliczą. W świecie bowiem głoszących normalsów nikt nie płaci za opowiadanie, co się robi. Płaci się za efekt - o czym mogą nie wiedzieć opiniotwórcze pączusie z warszawskich salonów. Och, oni nawet nie wiedzą, że ich już nikt nie słucha.

A tu pojawia się Żurek, gra w rozliczenia zaczyna się na poważniej, aż w Sejmie ląduje 26 oskarżeń pod adresem Ziobry, z odpowiednio dla niego dużą armatą: zarzutem kierowania grupą przestępczą.

I kiedy w naszym filmie akcja wreszcie rusza, PiS wybrał rolę tego nieznośnego kolesia, który

do usterki czarował w towarzystwie, ale jak przyszło co do czego, wpada w stupor. Statek już tonie, wieżowiec się pali, a koleś tylko przeszkadza swoim zawodzeniem tym, którzy próbują się z całej sytuacji jakoś wykaraskać.

W realiach historii Ziobry długo mieliśmy etap: nic się nie pali. Prokuratorzy są lewi, Tusk jest mściwy, zarzuty są wyssane z brudnego palucha niemieckich sługusów.

Gdy się okazało, że pozbierane kwity na szeryfa jednak sporo ważą - PiS poszedł w zawodzenie. Jeszcze na kilka dni przed finałem to był ciąg coraz mniej subtelnych aluzji, aż do finałowego zdania prezesa: zamykanie tak ciężko chorego człowieka w areszcie to w istocie morderstwo. Niższa szarża szarżowała po swojemu, w klimacie od „nie wykluczam, że Tusk chce Ziobrę zabić” do „uważam, że chcą go zabić”.

Jak zawsze, gdy przy licytacji nie ustawi się odpowiednio wysokiego wadium, nazłaziło się dyżurnych prawych harcówników. Dariusz Matecki, sam już z ciężkimi oskarżeniami w sądzie, sypnął nawet, że jak Ziobro zostanie u Orbana, a Żurek puściłby tam ekipę „łowców cieni”, to Węgrzy powinni po prostu „odstrzelić” polskich oficerów.

Przy czymś takim sam szeryf ze swoim manifestem: „Tusk nie jest premierem Polski, to kapo, który jest gotów zakałować każdego, kto mu przeszkodzi wykonywać rozkazy Berlina i Brukseli” - to sofik jest.

Gdy na koniec sztandar obrony podniosła - znana raczej z czego innego - dama Marianna Schreiber, odważnie obnażając pierś z okrzykiem: „Powiem to wprost: Oni chcą zabić Ziobrę” - przestało być strasznie. Zrobiło się strasznie śmiesznie.

Oczywiście można przez moment porozmawiać poważnie, ale wtedy wyjdzie nam, że Tusk jest ostatnim człowiekiem, który dziś źle życzy Ziobrze. Bo przy jego dobrym zdrowiu jest szansa na długi pobyt szeryfa w więzieniu lub obciążające rachunek Karola Nawrockiego - ułaskawienie.

Ale martwy Ziobro-męczennik? Pasuje tylko PiS, który w politycznym rozgrywanym trumieniu swoich ludzi jest mistrzem. I najlepiej, żeby umarł szybciej niż później, bo wtedy tylko jest pewność, że już nic o nikim nie opowie. A że łatwo zwala winę z siebie na kolegów - to akurat na komisji Pegasusa udało się pokazać dość wyraźnie.

A gdzie w tym wszystkim są i będą normalni? Zajęci, jak zwykle, zarabianiem na rodziny i utrzymanie tego cyrku na górze. Jak zareagują na wieść, że gdzieś tam po któregoś przyszło wreszcie... prawo i sprawiedliwość?

Najchętniej zwróciłbym się bezpośrednio do pana ministra: jestem przekonany, że nie chce pan przejść do historii jako „fujara” czy „miększon” i stawia się pan przed niezależnym wymiarem sprawiedliwości w Polsce. Jedyną metodą, aby wytłumaczyć się z tych zarzutów, jest postępowanie zgodne z prawem, tak aby zatriumfowało prawo i sprawiedliwość

MATURZYSTA Z JEDYNKĄ Z MATEMATYKI ZDAŁ EGZAMIN KOMISYJNY NA 90 PROCENT

Po głośnej sprawie w II Liceum Ogólnokształcącym imienia Tadeusza Kościuszki w Sandomierzu ruszyły kontrole Świętokrzyskiego Kuratorium Oświaty. W działania zaangażował się również Rzecznik Praw Obywatelskich

Paulina Baran

Wszystko zaczęło się od ucznia, który nie został dopuszczony do matury po otrzymaniu oceny niedostatecznej z matematyki, a następnie... zdał egzamin komisyjny na blisko 90 procent.

Oskarżenia o niesprawiedliwą ocenę

Przypomnijmy, że sprawa dotyczy II Liceum Ogólnokształcącego imienia Tadeusza Kościuszki w Sandomierzu. Matka absolwenta oskarżyła nauczycielkę matematyki o niesprawiedliwe wystawienie oceny niedostatecznej, przez którą jej syn nie mógł przystąpić do matury i kontynuować edukacji.

Według relacji matki, szkoła miała zignorować opinię poradni psychologiczno-pedagogicznej dotyczącą dysleksji ucznia. Pojawiły się również zarzuty, że nauczycielka proponowała wystawienie oceny dopuszczającej pod warunkiem, że chłopak zrezygnuje z podejścia do matury.

Ostatecznie uczeń zakończył rok szkolny z oceną niedostateczną z matematyki. Nie został dopuszczony do egzaminu maturalnego, ale

wkrótce potem przystąpił do egzaminu komisyjnego, który zdał na 89 procent. Na podejście do matury było już jednak za późno.

W skardze skierowanej do redakcji matka chłopca wskazała również na brak reakcji ze strony dyrekcji szkoły oraz na fakt, że instytucje nadzorcze ograniczyły się jedynie do stwierdzenia nieprawidłowości, bez wyciągnięcia realnych konsekwencji wobec szkoły.

We wrześniu 2025 roku, kiedy pisaliśmy o tej sprawie, skomentowała ją Barbara Majewska, dyrektor II Liceum Ogólnokształcącego imienia Tadeusza Kościuszki w Sandomierzu. Szefowa szkoły z pełną stanowczością zaprzeczyła zarzutom matki ucznia, któremu nauczycielka tej szkoły postawiła jedynkę z matematyki i realizuje projekty edukacyjne.

Kontrola kuratorium i zalecenia dla szkoły

Jak informuje Piotr Łojek, Świętokrzyski Kurator Oświaty, w sandomierskim liceum przeprowadzono już kontrole.

- Tematem tej kontroli było ocenianie uczniów tej szkoły. Dyrektor otrzymał zalecenia, które mają na celu poprawę przejrzystości procesu oceniania i wprowadzenie takich zasad, by uczeń wiedział, za co otrzymuje konkretną ocenę - mówi kurator.

Piotr Łojek podkreśla, że do kuratorium wpływają skargi podobne do tej. - Do kuratorium docierają różne sygnały, zarówno medialne, jak i anonimowe telefony o podobnych praktykach. Znam przypadek jednej ze szkół licealnych w Kielcach, w której nauczyciel dopuścił się takiego zachowania. Wówczas został ukarany karą dyscyplinarną - przyznaje Piotr Łojek.

W związku ze sprawą w Sandomierzu, kuratorium prowadzi kontrole również w innych placówkach regionu. - Przeprowadzamy i przeprowadzaliśmy kontrole w wielu szkołach. Praktycznie w każdej z nich znajdujemy jakieś nieprawidłowości dotyczące oceniania. Często okazuje się, że uczniowie i rodzice nie otrzymują wystarczającej informacji zwrotnej, za co konkretna ocena została wystawiona - tłumaczy kurator.

Jak dodaje, problem dotyczy przede wszystkim spraw-

dzianów i sposobu przekazywania informacji o wynikach uczniom i rodzicom. - Chcemy to doprecyzować. W ramach cyklu „ABC Dyrektora” odbyło się szkolenie, podczas którego nasza pani mecenas przedstawiła aspekty prawne dotyczące praw rodziców i uczniów, w tym między innymi wglądu do prac pisemnych - wyjaśnia Piotr Łojek i dodaje, że kuratorium prowadzi zarówno kontrole planowe, jak i doraźne.

- Jeżeli otrzymujemy zgłoszenie od rodziców lub prośbę o zweryfikowanie sytuacji w konkretnej szkole, wówczas mamy do czynienia z kontrolą doraźną. Z kolei w planie nadzoru kuratora oświaty przewidziany jest określony procent szkół, w których realizowane są kontrole planowe, między innymi w zakresie oceniania - dodaje Świętokrzyski Kurator Oświaty.

Zainteresował się Rzecznik Praw Obywatelskich

Do sprawy odniósł się również Rzecznik Praw Obywatelskich. W mailu przesłanym do naszej redakcji przez Magdalenę Kuraś, dyrektora Zespołu do Spraw Równego Traktowania, czytamy, że Rzecznik Praw



Matka absolwenta II Liceum Ogólnokształcącego w Sandomierzu oskarżyła nauczycielkę o niesprawiedliwe wystawienie oceny niedostatecznej, przez którą jej syn nie mógł przystąpić do matury i kontynuować edukacji

Obywatelskich otrzymał skargę indywidualną, w której sformułowano zarzut naruszenia praw jednego z uczniów II Liceum Ogólnokształcącego imienia Tadeusza Kościuszki w Sandomierzu, posiadającego opinię o specyficznych trudnościach w uczeniu się.

- Rzecznik prowadzi postępowanie wyjaśniające w sprawie. Zwrócił się do Świętokrzyskiego Kuratora Oświaty z prośbą o złożenie wyjaśnień oraz oczekuje na udostępnienie wnioskowanej dokumentacji - przekazała Magdalena Kuraś.

Dyrektor Zespołu do Spraw Równego Traktowania podkreśla, że prawo do nauki jest jednym z fundamentalnych praw człowieka, którego realizacja umożliwia rozwój osobisty, osiągnięcie samodzielności i niezależności, a także pełny udział we wszystkich sferach życia społecznego. Zaznacza także, że szkoła powinna zapewnić każdemu uczniowi warunki niezbędne do jego rozwoju oraz przygotować go do wypełniania obowiązków rodzinnych i obywatelskich w oparciu o zasady solidarności, demokracji, tolerancji, sprawiedliwości i wolności.

- Zadaniem państwa jest zapewnienie takiego systemu

kształcenia, który umożliwi pełny rozwój potencjału ucznia - jego talentów, kreatywności i zdolności - przy pełnym wykorzystaniu indywidualnych możliwości - napisała dyrektor Zespołu do Spraw Równego Traktowania.

Z redakcją „Echa Dnia” ponownie skontaktowała się również mama ucznia II Liceum Ogólnokształcącego imienia Tadeusza Kościuszki w Sandomierzu. Kobieta podkreśla, że każdy dzień stał się dla niej walką o sprawiedliwość i dobre imię syna.

- Nie mogę zrozumieć, w jaki sposób został potraktowany mój syn przez szkołę. Mimo licznych pism, ani nauczycielka, ani pani dyrektor nawet raz nie powiedziały słowa „przepraszam” - mówi matka chłopca.

Podkreśla również, że choć kontrola kuratorium wykazała nieprawidłowości, to do dziś nikt nie poniósł żadnych konsekwencji. - Szkoła, mimo pisma wysłanego przez mojego adwokata z prośbą o publiczne przeproszenie mojego syna, od wielu tygodni milczy - dodaje.

Kobieta zapowiada, że jeżeli jej syn nie otrzyma publicznych przeprosin to skieruje sprawę do sądu.

REKLAMA

0011428883



DZIĘKUJEMY POLSKO, DO ZOBACZENIA W MAJU!

ANDRÉ RIEU

I JEGO JOHANN STRAUSS ORKIESTRA

MAJ 2026

GDAŃSK/SOPOT, ŁÓDŹ, GLIWICE, KRAKÓW

BILETY: WWW.ANDRERIEU.COM



THANK YOU,
Johann Strauss!

**NOWY ALBUM
JUŻ DOSTĘPNY**

KOMIKS

Detektyw Herkules Poirot
wygląda jak żywy

Egmont wypuścił „Wigilię Wszystkich Świętych” – kolejny komiks na kanwie powieści kryminalnej Agathy Christie. Powieść wydano w Wielkiej Brytanii w 1969 roku. Autorem scenariusza tej adaptacji jest Francuz Dominique Ziegler, natomiast rysunki wykonał pochodzący z Chile Cristián Montes.

Poirot patrzy i już wie

Podczas przyjęcia dla dzieci z okazji halloween zostaje popełnione morderstwo, którego ofiarą pada nastoletnia dziewczyna, Joyce Reynolds. Ktoś wepchnął jej głowę do miski z wodą i przytrzymał. Jedyną wskazówką jest to, że dziewczyna wcześniej głośno chwaliła się, że była świadkiem morderstwa.

Dochodzenie w tej sprawie podejmuje – co oczywiste – Herkules Poirot. Mimo podeszłego wieku i choroby, detektyw wytrwale dąży do rozwiązania sprawy. Niestety, ofiar przybywa: w podobny sposób zamordowany zostaje również młodszy brat Joyce, Leopold. Poirot szybko odkrywa, że kluczem do rozwiązania zagadki musi być jakaś dawna miejscowa zbrodnia, o której wiedzieli dzieci. Wszczyna więc śledztwo w sprawie kilku zawiłych spraw z przeszłości.

Ubrany jak dandys

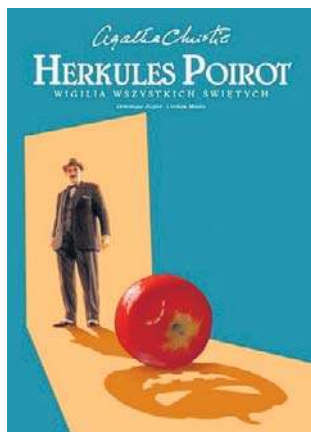
Herkules Poirot, as kryminologii, który pojawia się w ponad 30 książkach Agathy Christie, to powstać estetycznie rozpoznawalna na pierwszy rzut oka. To przede wszystkim zasługa filmów, w których go widzieliśmy, ale też wskazówek samej pisarki. Wiemy zatem, że jest niski, ma jajowatą głowę, starannie pielęgnowane wąsy i „ubiór dandysa”, choć z urodzenia jest Belgiem.

Podobnie jak wielu innych detektywów z tzw. złotego wieku powieści kryminalnych, jest stanu wolnego (jak np. panna Marple czy Sherlock Holmes). Wie wszystko i zna wszystkich. Poza tym jest bogaty jak nabab. W jednej z powieści okazuje się wręcz, że jest jedną z najbardziej wpływowych osób w Anglii – kuma się z rodziną panującą i pije herbatki z premierem i arystokratami.

„Cóż za wąsy, Herkulesie!”

W Egmontowym komiksie Poirot pojawia się już na okładce, ale szczegółowiej możemy mu się przyjrzeć na str. 14. Stoi tam w całej swej detektywistycznej okazałości. Okazuje się, że wcale nie jest niski – kawał z niego chłopca. Cristián Montes ubrał go w garnitur koloru dark brown (zmienia go na str. 59 na jasną marynarkę), buty z getrami i wyposażył w muchę i dewizkę. Na głowie ma kapelusz.

Najbardziej istotna jest kwestia wąsów. Wąsy Herkulesa Poirota są gęste, krótko przycięte i charakterystycznie zakręcone do góry na końcach, tworząc elegancki, symetryczny kształt. Ich stylizacja wymaga przycinania do równej długości około jednego centymetra i użycia wosku do uformowania końcówek w charakterystyczny łuk. Można się spierać, czy to wąsy typu imperial, czy bardziej handlebar (co ciekawe, Kenneth Branagh grający detektywa w serialu „Poirot” nosi wąsy typu hungarian), ale trzeba przyznać, że Cristián Montes wyrysował je tutaj idealnie. **grab**



Agatha Christie, Dominique Ziegler, Cristián Montes, „Wigilia Wszystkich Świętych”, wyd. Egmont, Warszawa 2025, cena 39,99 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

EWA CHODAKOWSKA

Jest właśnie inwigilowana

„Gazeta Wyborcza” ujawniła niedawno wyniki badań fundacji Pro-Test, która wzięła pod lupę dziewięć przekąsek należących do marek Ewy Chodakowskiej i Anny Lewandowskiej. Najgorzej wypadł batonik firmowany przez pierwszą z celebrytek – BeRaw! Kids, w którym znaleziono ślady aż jedenastu różnych pestycydów. W odpowiedzi Chodakowska napisała na Facebooku: „Jestem prześwietlana i inwigilowana na każdym kroku. Nie mogę popełniać błędów. I gdyby moje produkty były szkodliwe, zostałyby zdjęte z rynku. Kup sobie owoce, zmiększaj z orzechami, miodem, ziarnami kakao, daktylami – będziesz miała taki sam skład jak moje przekąski. To nie są produkty przetworzone”.

MACIEJ KURZAJEWSKI

Miał gorący doping

Tuż po ślubie dziennikarz poleciał z żoną do Nowego Jorku, aby wziąć udział w tamtejszym maratonie. Kurzajewski nie biegł sam – towarzyszył mu młodszy syn Julian, z którym chętnie pozował do zdjęć przed startem. Na trasie mogli liczyć na gorący doping Kasi Cichopek, która z entuzjazmem kibicowała mężowi i pasierbowi. Przy okazji małżonkowie zwiedzili miasto – od tętniącego życiem Times Square, przez Rockefeller Center z kultowym lodowiskiem, po słynne Radio City Music Hall. Wybrali się też do muzeum Madame Tussauds, gdzie Kasia miała okazję wtulić się w muskularne ramiona Dwayne’a Johnsona. W programie wizyty nie zabrakło też wypadu na Broadway, gdzie podziwiali słynny musical „Moulin Rouge”.

DOMINIKA GAWĘDA

Wszystko przed nią

Wokalistka grupy Blue Cafe przerwała milczenie po rozstaniu z Maciejem Szczepanikiem z zespołu Pectus, z którym była w małżeństwie



Dorota Szelańska przybrała nieco na wadze po rzuceniu palenia, ale już udało się jej schudnąć

przez osiem lat. W wywiadzie dla serwisu Jastrząb Post zdradziła, że rozwód przebiegł spokojnie za porozumieniem stron. – Nie wiem, jak będzie, ale najważniejsze jest to, że rozstaliśmy się w zgodzie i była to nasza wspólna decyzja. A teraz realizuję siebie w nowym etapie życia i myślę, że skończyłam 40 lat i piękne jest to, że wszystko jest przede mną – stwierdziła. Na koniec dodała, że czuje się gotowa na nową miłość: – Zainteresowanie jest duże. Pozdrawiam wszystkich mężczyzn.

DOROTA SZELAŃSKA

Kocha siebie niezmiennie

Celebrytka jakiś czas temu rzuciła palenie, co sprawiło, że przybrała nieco na wadze. Wtedy podjęła decyzję o wprowadzeniu zmian w swojej codziennej rutynie i z czasem zdecydowanie schudła. Stało się to pretekstem do wywiadu, jakiego właśnie udzieliła „Twojemu Stylowi”. W rozmowie Szelańska zauważyła, że podobnie jak w relacjach z bliskimi można mieć swoje preferencje dotyczące wyglądu, ale nie powinny one wpływać na uczucia, jakie żyjemy wobec siebie. – Nie podobam się sobie, jak jestem grubsza, ale to nie zmienia faktu, że siebie kocham. Tak samo, jak nasz partner może nam się podobać w jednej fryzurze bardziej niż w innej, ale to nie zmienia naszej miłości do niego – stwierdziła.

IWONA PAVLOVIĆ

Ma wszystko ułożone

Jurorka „Tańca z gwiazdami” jest żoną biznesmena Wojciecha Oświęcimskiego. Kiedy w niedawnym wywiadzie dla Plejady zapytano ją, jak godzi obowiązki zawodowe z rodzinnymi, odpowiedziała: – Idealnie. Kiedy trzeba, przyjeżdżam tutaj, kiedy trzeba, jestem w domu, kiedy trzeba, prowadzę bardzo dużo gal, turniejów tańca, imprez, eventów. Mam wszystko naprawdę dobrze ułożone, a jeszcze w tym wszystkim bardzo pięknie pomaga mi mój mąż, który czasami staje się moim opiekunem, moim bezpieczeństwem, moim kierowcą, wszystkim.

MARTA NAWROCKA

Nie czuła żalu

Pierwsza dama RP udzieliła wywiadu „Vivie”. Opowiedziała o tym, jak musiała zrezygnować z pracy zawodowej w związku z prezydenturą męża. – To nie była łatwa decyzja, bo przez osiemnaście lat byłam częścią służby celno-skarbowej. Pracowałam w zespole, który był jak rodzina, z ludźmi, z którymi tworzyliśmy coś trwałego. To była praca konkretna, wymagająca, ale ucziwa. Miałam sens. Jako funkcjonariusz publiczny nie mogłam angażować się w kampanię prezydencką, więc złożyłam wniosek o urlop bezpłatny – wyznała.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Odwadź się ruszać naprzód! Intuicja podpowie Ci właściwą drogę. Horoskop dzienny radzi zaufać jej całkowicie.

Ryby (19.02 - 20.03)

Nie ulegaj emocjom. Horoskop na dziś radzi unikać pochopnych decyzji. Dzięki temu odzyskasz spokój.

Baran (21.03 - 19.04)

Kreatywność w zenicie! Horoskop dzienny na piątek wróży, że rozmowa z kimś bliskim przyniesie inspirację i nowe możliwości.

Byk (20.04 - 20.05)

Emocje na pierwszym planie – nie uciekaj od nich. Horoskop dzienny zapowiada, że w szczerości znajdziesz siłę oraz zrozumienie.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)

Twoja charyzma będzie przyciągać ludzi, więc działaj. Horoskop na dziś wróży, że sukces jest w zasięgu ręki.

Rak (22.06 - 22.07)

Drobiazgi mają znaczenie. Horoskop dzienny na piątek mówi, że porządek w myślach przyniesie klarowność oraz satysfakcję z pracy.

Lew (23.07 - 22.08)

Równowaga jest kluczem do udanego dnia. Horoskop dzienny radzi postawić na harmonię w relacjach z innymi osobami.

Panna (23.08 - 22.09)

Dziś poczujesz intensywność uczuć. Kieruj nią mądrze. Horoskop na dziś zapowiada, że namiętność może dać Ci moc i spokój.

Waga (23.09 - 22.10)

Przygoda kus! Zrób coś spontanicznego. Horoskop dzienny na piątek mówi, że los nagrodzi Cię uśmiechem.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Cierpliwość dziś zapoczątkuje. Nie zniechęcaj się. Horoskop dzienny zapowiada, że każdy krok przybliży Cię do wyznaczonego celu.

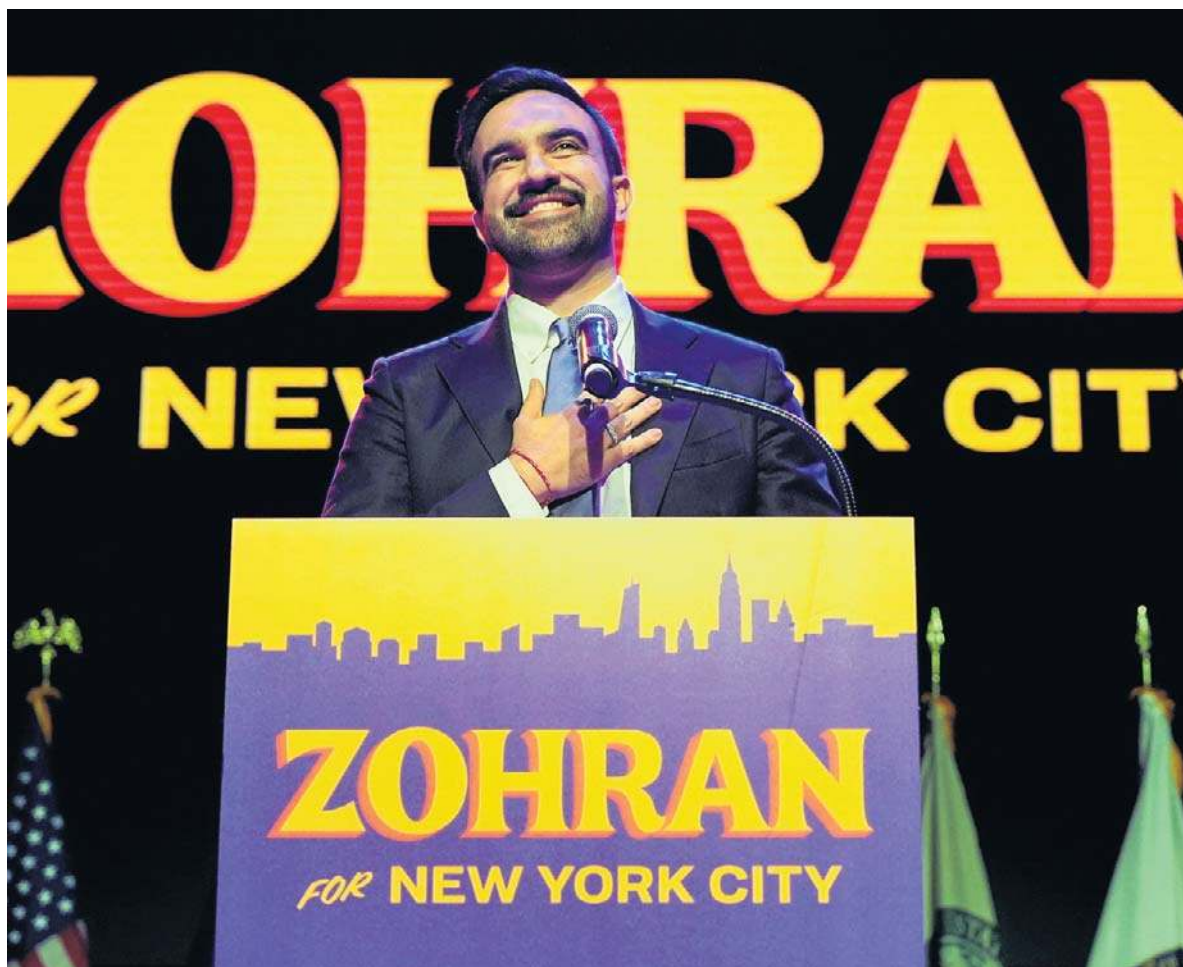
Strzelec (22.11 - 21.12)

Zaskoczy Cię nowe spojrzenie na stary problem. Otwórz się na zmianę. Horoskop na dziś mówi, że znajdziesz dzięki temu lekkość.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Intuicja poprowadzi Cię do celu. Zaufaj przecuciom. Horoskop dzienny na piątek mówi, że one będą najlepszym drogowskazem.

FOTOkomentarz tygodnia



5 LISTOPADA, USA. **Zohran Mamdani** został wybrany nowym burmistrzem Nowego Jorku. 34-latek jest muzułmaninem o silnych socjalistycznych poglądach. Jego wyraźna wygrana w wyborach (przy wysokiej frekwencji) została zinterpretowana jako forma protestu przeciwko polityce Donalda Trumpa



5 LISTOPADA, WARSZAWA. **Koniec zamieszania ze sporną działką w pobliżu planowanego CPK.** Trafiła ona w prywatne ręce pod koniec rządów PiS, teraz Skarb Państwa ją odkupił po cenie zakupu



3 LISTOPADA, PAKISTAN. **Komu złotą rybkę?** Na targu w Peszawarze można je kupić w foliowej torebce. Ceny? Od 200 do 8 tys. rupii pakistańskich, czyli od 3 do 100 zł. Wygląda jak opłacalna inwestycja

REKLAMA

0011427455



Czas na zdrowie

Zimowa oferta jubileuszowa



- Zakwaterowanie**
- Śniadania i kolacje w bufecie szwedzkim, obiady serwowane do stolika**
- Konsultacja lekarska**
- 4 zabiegi dziennie (oprócz niedziel i dni świątecznych)**
- 90 min. dziennie w Strefie Relaksu (sauna, jacuzzi, grota solna, siłownia)**
- Voucher do Integracja Cafe**

52 35 63 101, 52 35 63 100, 52 35 63 320

medicalspa@solanki.pl, recepcja@solanki.pl

www.solanki.pl

Bo chwile, które zostają w sercu, trwają dłużej niż lekcje

Katarzyna Adamczyk
katarzyna.adamczyk@polskapress.pl

Za każdą lekcją, klasą, i szkolnym dzwonkiem kryją się historie, które zostają w pamięci na zawsze. Pokazują, że praca w edukacji to coś więcej niż zawód - to miłość i droga pełna emocji.

Plebiscyt Edukacyjny 2025 to nie tylko ranking imion i nazwisk wspaniałych uczestników tej akcji. To przede wszystkim

kim ludzie oświaty, którzy każdego dnia inspirują młode pokolenia, dzielą się swoją wiedzą i sercem. Wspierają uczniów w ich rozwoju i pokazują, że nauka może być prawdziwą, niezwykłą przygodą. A ponieważ to ludzie są dla nas najważniejsi, właśnie dlatego przedstawiamy bliżej uczestników naszej akcji - oddając im głos na naszych łamach (kolejna publikacja już 14.11). Każdy z uczestników plebiscytu ma wyjątkowe historie zapisane

w pamięci. Niektórzy pamiętają swój własny pierwszy dzień w szkole - treść, niepewność oraz uczniów, którzy dziś są już dorosłymi ludźmi. Inni wspominają moment, gdy jakieś dziecko po raz pierwszy uśmiechnęło się do nich. Doskonale pamiętają te małe, ale wielkie zwycięstwa.

My wiemy, że edukacja to przede wszystkim tworzący ją ludzie - dlatego tak ważne są dla nas opowieści tych, którzy z pasją uczą i wychowują.

Każdy uczestnik plebiscytu ma swoją historię - każda jest warta opowiedzenia i każda inna. Ich wspólny mianownik? Wielkie serce i pasja! To właśnie dzięki takim osobom szkoła staje się miejscem, gdzie dzieci uczą się nie tylko wiedzy, ale również odwagi, empatii, wiary w siebie. To do takich nauczycieli, pedagogów czy dyrektorów szkoły wraca się po latach w uśmiechu pełnym wdzięczności czy ciepłym „dzień dobry” na ulicy...

LIDERZY RANKINGÓW

Oto lista nauczycieli, którzy od początku głosowania do czwartku, do godz. 10 zdobyli najwięcej głosów wśród liderów z powiatów oraz lista liderów głosowania na dyrektorów, nauczycieli akademickich, psychologów i pedagogów szkolnych oraz placówki edukacyjne.

NAUCZYCIEL PRZEDSZKOLA

1. Sylwia Węsiara, Niepubliczne Przedszkole TO JA, Gdańsk
2. Katarzyna Littwin, Gminne Przedszkole, Gorzyczno
3. Aleksandra Radomska, Przedszkole Publiczne Nad Rzeczką, Pruszcz Gdański
4. Elżbieta Kowalska, Przedszkole Publiczne, Mosty
5. Marta Pawłocka, Superkids Przedszkole Terapeutyczne, Rumia

NAUCZYCIEL KLAS O-III

1. Monika Dziubicka, Szkoła Podstawowa nr 85 im. Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, Gdańsk
2. Katarzyna Wikaryjczyk, Szkoła Podstawowa nr 13 im. Lucjana Cylikowskiego, Gdynia
3. Marta Radziejewska, Szkoła Podstawowa nr 3 im. gen. Mariusza Zaruskiego, Ustka
4. Izabela Behrendt, Szkoła Podstawowa nr 2 im. prof. Gerarda Labudy, Luzino
5. Grażyna Pesta, Zespół Szkół Specjalnych nr 5 im. Marii Grzegorzewskiej, Sopot

NAUCZYCIEL KLAS IV-VIII

1. Michał Łukawski, Szkoła Podstawowa, Kowale
2. Dorota Maślona, Szkoła Podstawowa im. Henryka Sienkiewicza, Głobino
3. Natalia Węgrecka, Podstawowa Szkoła Społeczna Niedźwiednik, Gdańsk
4. Magdalena Człapińska, Szkoła Podstawowa nr 5 im. Fryderyka Chopina, Wejherowo
5. Marta Andrzejewska, Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi nr 4 im. Gustawa Morcinka, Słupsk

NAUCZYCIEL SZKOŁY PONADPODSTAWOWEJ

1. Janina Wołosewicz, Zespół Szkół Hotelarsko-Gastronomicznych, Gdynia
2. Anna Maria Rozenek, Zespół Szkół Elektryk im. Noblistów Polskich, Słupsk
3. Przemysław Wacławek, Zespół Szkół, Brusy
4. Adrian Bukowski, Niepubliczne Liceum Ogólnokształcące Mental Arts, Gdańsk
5. Dorota Milejko, Zespół Szkół Ogólnokształcących nr 2, Kartuszy

NAUCZYCIEL AKADEMICKI

1. dr Bartosz Nowak, Uniwersytet Gdański, Wydział Zarządzania, Sopot
2. mgr Karolina Wojciechowicz-Pęsyk, Gdański Uniwersytet Medyczny, Wydział Lekarski, Gdańsk
3. dr Joanna Mampe, Uniwersytet Gdański, Wydział Filologiczny, Gdańsk

DYREKTOR PLACÓWKI EDUKACYJNEJ

1. Joachim Szyc, Podstawowa Szkoła Gedanensis, Gdańsk
2. Agnieszka Szwejkowska-Kulpa, Zespół Szkolno-Przedszkolny nr 6, Gdynia
3. Joanna Kaizer-Prondzińska, Przedszkole Niepubliczne Aniołek, Kiełpino

PSYCHOLOG LUB PEDAGOG SZKOLNY

1. Adam Mańkowski, Niepubliczne Liceum Ogólnokształcące Mental Arts, Gdańsk
2. Natalia Chrzanowska, Szkoła Podstawowa nr 59 im. I Dywizji Pancerniej im. gen. Stanisława Maczka, Gdańsk
3. Magdalena Milner, Przedszkole nr 52, Gdańsk

PRZEDSZKOLE ROKU

1. Mikiland Przedszkole, Szymbark, Rzemieślnicza 4
2. Przedszkole Niepubliczne Kiddo, Gdynia, Węglowa 22/8A
3. Chrześcijańskie Przedszkole Montessori Ptasię Radio, Rumia, Świętopelka 92

SZKOŁA ROKU

1. Niepubliczna Szkoła Podstawowa Gedanensis, Gdańsk, Dworska 34
2. Niepubliczna Integracyjna Szkoła Podstawowa Lawendowy Król, Pruszcz Gdański, Powstańców Warszawy 81D
3. Szkoła Podstawowa im. Henryka Sienkiewicza, Głobino, Główna 47

SZKOŁA JĘZYKOWA ROKU

1. King's Language Academy, Przdokowo, Sportowa
2. KK-LINGUA, Gdynia, Zgoda 5/18
3. English Point Szkoła Językowa, Tczew, Paderewskiego 8/Lok. 3

Sprawdź aktualne wyniki i głosuj na:
www.dziennikbaaltycki.pl/nauczyciel

Dzieci mawiają, że jest najlepszą panią na świecie; że ją kochają

Magdalena Mączyńska (Szkoła Podstawowa nr 7 im. Jana Karnowskiego, Chojnice) mówi, że praca okazała się spełnieniem Jej marzeń.

Dlaczego ten zawód? - Od zawsze miałam w sobie pokłady empatii i chęć niesienia pomocy innym. Na początku myślałam o pracy w MOPS-ie lub podobnej placówce. Ale los pokierował mnie do szkoły. 12 lat wspaniałej pracy w świetlicy a później 1-3 jak się okazuje spełnienie moich marzeń - wyjaśnia pani Magdalena.



Ogromną satysfakcję sprawiają Jej te drobne gesty ze strony dzieci. - Kiedy rodzice piszą mi, że dzieci płaczą, bo nie mogą iść na lekcję, bo są chore, a na pewno na lekcji ominie ich coś ciekawego; kiedy rodzice piszą, że dzieci za mną tęsknią; kiedy one same mówią mi, że jestem najlepszą panią na świecie; kiedy przytulają się do mnie i mówią, że mnie kochają; kiedy mają głowę pełną pomysłów; kiedy mówią mi, że oni nie chcą długiego weekendu, bo będą tęsknić - wymienia.

Kiedy słyszy „pani Elu, już potrafię”, to dla Niej najlepsza nagroda

- Praca w oświacie to dla mnie spotkanie z drugim człowiekiem - małym, ciekawym światem, pełnym emocji i pomysłów - mówi Elżbieta Kowalska (Przedszkole Publiczne, Mosty).

- Od zawsze wiedziałam, że chcę pracować z dziećmi. Od najmłodszych lat otaczały mnie dzieci - mam czworo młodszego rodzeństwa, którym często się opiekowałam. To doświadczenie nauczyło mnie cierpliwości, empatii i odpowiedzialności - cech, które dziś są fundamen-



tem mojej pracy w przedszkolu - tłumaczy nominowana w kategorii Nauczyciel przedszkola. Przyznaje, że z dziećmi czuje się naturalnie - ich energia, otwartość i szczerość inspirują ją każdego dnia. Cieszy się, gdy widzi, że dzięki wspólnej pracy dziecko przełamuje swoje trudności, zaczyna wierzyć w siebie i z radością podejmuje nowe wyzwania, gdy z bliskiem w oczach opowiada o swoich pomysłach, gdy po raz pierwszy coś się uda. Każdy uśmiech i spontaniczne: - „pani Elu, zobacz, potrafię!” to dla niej największa nagroda.

Sama zawsze należała do tych... pyskatek i trochę krnąbrnych

- Praca to przede wszystkim moja wielka pasja - mówi Katarzyna Osmańska (Szkoła Podstawowa nr 6 im. Jana Pawła II, Reda).

Uwielbia kontakt z dziećmi i młodzieżą. To wielka radość patrzeć, jak dorastają i spełniają marzenia. Przebywanie wśród uczniów każdego dnia daje jej siłę i motywację. Dlaczego wybrała ten zawód? - Zawsze chciałam zostać piłkarzem - sport to też moja wielka pasja. Grałam aż po studia, ale w czasach, gdy dorastałam i tam,



gdzie dorastałam, moje marzenia niestety mogły pozostać tylko w sferze tych nie do spełnienia. Trzeba było wybrać kierunek studiów. Zawsze należałam do tych pyskatek i trochę krnąbrnych, więc pomyślałam o resocjalizacji - chciałam pracować w więzieniu - wspomina. Podczas studiów, miała kontakt także z uczniami i to właśnie dlatego skierowała swoje zainteresowania w stronę pracy w szkole. Dziś uwielbia kontakt z podopiecznymi, rozmowy z nimi dają jej mnóstwo satysfakcji i radości.

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 32 utworzą rozwiązanie – myśl Wiesława Brudzińskiego.

ROZWIĄZANIE: NIEJEDEN WZOR SKŁADA SIĘ Z SAMYCH PŁAM.

Zrobimy wszystko, aby Kasia Niewiadoma spełniła sny o olimpijskim złocie w Los Angeles

Adam Godlewski
redakcja@polskapress.pl

Z Markiem Leśniewskim, prezesem Polskiego Związku Kolarskiego, pogadaliśmy o perspektywach i o problemach, z którymi zmaga się cała dyscyplina.

Medale igrzysk olimpijskich i mistrzostw świata to coś, co nadal we wspomnieniach prezesa Polskiego Związku Kolarskiego jest żywe?

Oczywiście. Powiem szczerze, że dla mnie życie to jest taka wielka księga. Rozdział kolarstwa, ten sportowy, jest bardzo długi – w moim przypadku dwudziestopięcioletni. Zatem wspomnienia zawsze wracają. „Najgorzej”, w cudzysłowie, jest wówczas, gdy mi wpadną zdjęcia z tamtych lat, zwłaszcza z jakiegoś z podium. Wtedy odpływam, nie ma mnie dwie, trzy godziny... Dlatego mówię, że ludzie, którzy nie mają wspomnień, są biedni, ubodzy. A ja jestem bardzo bogaty w te wspomnienia. Igrzyska olimpijskie i mistrzostwa świata, wygrany Paryż – Roubaix, tytuły mistrza Polski, wygrany Tour de Pologne – życzę każdemu sportowcowi, żeby miał taką udaną karierę. I żeby był równie dumny z tego, co zrobił. Ja wiem, kim jestem, czego dokonałem i znam swoją wartość. I to jest dla każdego człowieka najważniejsze, bo wtedy życie naprawdę jest łatwiejsze. Także w roli prezesa PZKOI.

Jak Pan ocenia mijający rok w polskim kolarstwie?

Był bardzo dobry, pokazał, że mamy już następców mistrzów. Rafał Majka zszedł ze sceny, Michał Kwiatkowski pewnie też o tym myśli, wokół nich przez lata mieliśmy taką fajną eksportową ekipę. Coś się skończyło, ale teraz doczekaliśmy się naprawdę obiecującej grupy orlików, juniorów i juniorów młodszych – kolarzy i kolarzy, w wieku między trzynaście a dwadzieścia dwa lata. Talenty trzeba oczywiście umiejętnie poprowadzić, pokierować, pomagać, ile tylko się da, żeby były narzędzia, aby dalej mogli się rozwijać i osiągać dojrzałość sportową na najwyższym poziomie. Czyli takim, jaki prezentowali Rafał i Michał w najlepszych latach.

Czyli brak medali na mistrzostwach świata w kategorii seniorów Pana nie martwi?

Nie. Do Rwandy na mistrzostwa świata w ogóle z elitą państw nie poleciliśmy, bo pięć i pół kilometra przewyższenia na trasie z góry eliminowało naszych reprezentantów z walki o medale. Rafał Majka w swoim piku formy powalczyłby o złoto, natomiast Michał Kwiatkowski nie włączyłby się obecnie w wyścigu o takim profilu do walki o czołowe pozycje. Zresztą nie oszukujmy się, teraz polskie kolarstwo jest... kobietą. Wokół Kasi Niewiadomej utworzyła się wspólna grupa. Agnieszka Skalniak-Sójka,



FOT. SZYMON GRUCHALSKI

– Teraz polskie kolarstwo jest... kobietą. Wokół Kasi Niewiadomej utworzyła się wspólna grupa. W największych imprezach możemy wystawiać 8 pań – mówi prezes Leśniewski

Marta Lach, a dalej nie będę wyliczał, bo nie chcę pominąć żadnej istotnej zawodniczki. Stać nas to, aby w największych imprezach wystawiać osiem pań. U mężczyzn mamy przesilenie i zmianę pokoleniową – mieliśmy problem, by w mistrzostwach Europy wystawić trójkę. Ale to wróci i będziemy mieli pełne składy, które będą walczyły o laury, trzeba tylko trochę cierpliwości. Te zmiany nie następują jak po kliknięciu palcami w klawiaturę, ale nadchodzi nowa, jakościowa młoda fala.

Sponsorem Polskiego Związku Kolarskiego została giełda zondacrypto, która będzie z nami aż do igrzysk w Los Angeles. To zapewni spokój w przygotowaniach olimpijskich?

Od strony szkoleniowej z całą pewnością. Te pieniądze, które będą pochodzić z zondacrypto, nie będą na pewno przekazane na spłacanie długów wygenerowanych przez tor w Pruszkowie ani na regulowanie innych zaległości – w całości pójdą na sport, na wsparcie dla zawodników. Bo na dłuższą metę tylko wynik i rozpoznawalność obroni całą dyscyplinę. Cóż, problemy finansowe PZKOI i problemy toru są ogólnie znane. One będą jeszcze jakiś czas z nami, w najgorszym przypadku skończy się wykupieniem terenu z gruzem po torze przez dewelopera. Problem ciągnie się od roku 2008 i trzeba go wreszcie rozwiązać. Wspólnie, to powinna być sprawa narodowa. Bez pomocy ministerstwa sportu – nawet gdybym

stawał na głowie – jakkolwiek obietnica z mojej strony jest bez pokrycia.

Prowadzicie dialog z ministerstwem w tym temacie?

Co jakiś czas się spotykamy i robimy pewne ustalenia, ale dla mnie to idzie za wolno. Odsetki wynoszą kilkanaście tysięcy złotych dziennie, aktualnie mamy jakieś dwadzieścia cztery miliony zadłużenia. Za rok będzie to już dwadzieścia sześć milionów. Najlepiej dla wszystkich stron – dla Mostostalu, który był wykonawcą, dla strony rządowej, czyli dla ministerstwa, i polskiego kolarstwa – byłoby sprawę załatwić raz, a dobrze. Możemy oczywiście przeciągać trudne decyzje w nieskończoność, tor jest wart sto dwadzieścia pięć milionów. W licytacji, do której ma dojść jeszcze w listopadzie, jest wystawiony za osiemdziesiąt trzy miliony. To jeszcze mamy pięćdziesiąt milionów marży, więc – mówię to sarkastycznie – możemy się jeszcze trochę pobawić.... Tylko że to droga donikąd, bo cierpi na tym całe polskie kolarstwo.

Czy to marzenie, które wyartykułowała Kasia Niewiadoma, że chciałaby dogonić teściową na igrzyskach w Los Angeles, zdobywając złoty medal, to jest rzeczywiście realny olimpijski cel sportowy?

Tydzień temu usłyszałem o tym marzeniu Kasi podczas konferencji w Monako, na któ-

rej została ogłoszona współpraca zondacrypto z Polskim Komitetem Olimpijskim. I deklaruje, że dołoży wszelkich starań – zrobię absolutnie wszystko, co będzie w mojej mocy i w mocy Polskiego Związku Kolarskiego – aby Kasia to marzenie zrealizowała. Jest znakomita, z postawą walcząca jest wzorem dla młodzieży, z którą ma zresztą świetny kontakt. Nasze kolarzskie „dzieciaki” były zachwycone wspólnym pobylem na mistrzostwach świata czy Europy. Katarzyna Niewiadoma idealnie wywiązywała się z roli idola. Troszkę zabrakło mi takiej postawy u Rafała Majki i Michała Kwiatkowskiego, ale widocznie mieli inne priorytety i obowiązki. Kasia jest naśladowana, każdy jej gest, ruch, to, jak ubierze się na trening, co zje. Maria Okrusińska, nasza najmłodniejsza juniorka, też z Kasi sporo czerpie. To jest nasza, obok Janka, druga największa nadzieja olimpijska, fajnie się rozwijająca, której też trzeba pomóc. Jest teraz w grupie holenderskiej i tak jak w... tenisie, to rodzina opłaca jej pobyt w zagranicznej ekipie. Bo my jako związek nie mamy środków... Ministerstwo za to nie zapłaci, za to dzięki pomocy zondacrypto będziemy mogli współfinansować rozwój tej młodej zawodniczki. Taka jest bowiem rola i obowiązek każdego polskiego związku sportowego. I tyle...

REKLAMA

0011246076

dziennikbaaltycki.pl/nekrologi

Nekrologi, kondolencje

przyjmowane są od poniedziałku do piątku w godzinach 8.30-15.30

- bezpośrednio w Biurze Ogłoszeń, **Gdańsk, Połęża 3, tel. 58/300 32 11**
- drogą mailową: nekrologi@prasa.gda.pl
- poprzez Internetowe Biuro Ogłoszeń ibo.polskapress.pl
- w zakładach pogrzebowych współpracującymi z Dziennikiem Bałtyckim
 - **PPU Zielen, Gdańsk, Partyzantów 76** www.zielen.pl, tel. 58/341-20-71 do 73
 - **ZDiZ w Sopocie Cmentarz Komunalny, Malczewskiego 31** tel. 58/551-03-50, biuro@cmentarz.sopot.pl
 - **Zarząd Cmentarzy Komunalnych w Gdyni** ul. Witomińska 76, tel. 58/660-89-50, www.zck.pl



nekrologi.net

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne?

Telefonicznie: 800-472-852, 58 300 32 17 i zapłać kartą kredytową
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń - **Gdańsk**, Połęża 3, tel. 58/3003 211

Nieruchomości

DOMY - KUPIĘ

ODKUPIĘ współdział
w nieruchomości, cała Polska
518503404

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

AWARIE - dachy, blachy, kominy, papy, rynny, malowanie; 517-744-487

Sufity Podwieszane: Napinane, Kasetonowe, Rastrowe, Gipsowe, Ścianki Gipsowe "Sufitex"
604-944-094, 58-558-25-65 www.sufitex.pl

OGRODNICZE

WYCINKA drzew i samosiej
tel. 723-894-857

Motoryzacja

SAMOCZODY OSOBOWE - KUPIĘ

ABA auta całe, uszkodzone
kupię zaniedbane powypadkowe.
Najlepiej płacimy, całe pomorskie
514-514-610

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/tona, 500-669-621

Turystyka

KRAJ

GÓRY

Beskidy koło Wadowic - tradycyjne turnusy Świąteczne,
tel.: 501-642-492.

Matrymonialne

BIURO "Serduszka Dwa" 883-783-782

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne

w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

TENIS MORDERCZY MECZ IGI ŚWIĄTEK Z AMANDĄ ANISIMOVA. NIESTETY, POLKA WRACA JUŻ DO DOMU

Wszystkiemu winna jest... karma

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

No i stało się. Drugi rok z rzędu Iga Świątek kończy udział w turnieju „WTA Finals” na fazie grupowej.

Triumfatorka sprzed dwóch lat zawodów dla ośmiu najlepszych tenisistek sezonu, przegrała decydujące starcie w Rijadzie z Amerykanką Amandą Anisimovą 7:6(3), 4:6, 2:6 i z bilansem 1-2 zajęła trzecie miejsce w „Grupie Sereny Williams”.

A zaczęło się całkiem obiecująco. W pierwszym meczu prestiżowego turnieju w Arabii Saudyjskiej, Iga Świątek rozbiła w 61 minut Amerykankę Madison Keys 6:1, 6:2. Później przegrała jednak z Rosjanką z paszportem Kazachstanu - Jeleną Rybakina 6:3, 1:6, 0:6 i w śróde z 24-letnią, równo trzy miesiące młodszą, inną Amerykanką Amandą Anisimovą.

- Szczerze mówiąc, zrobiłam wszystko, co mogłam, więc niczego nie żałuję. Czułam, że jestem w formie, miałam pozy-

tywne nastawienie. Walczyłam i do końca się nie poddałam, ale to nie wystarczyło, i to mnie smuci. OK, może kilka piłek zagrałam za krótko, ale tenis nie jest taki, że będzie idealnie - twierdzi Świątek, cytowana przez stronę internetową WTA

Od początku, spotkanie w Rijadzie było bardzo zacięte. W pierwszym secie Anisimova pewnie wygrywała swoje gemy serwisowe. Świątek już w gemie otwarcia musiała bronić break pointa. Sytuacja powtórzyła się w gemie dziewiątym, a dwóch broniła w gemie numer 11.

W tie-breaku to jednak Polka szybko przejęła inicjatywę. Od stanu 1-1 wygrała trzy piłki z rzędu. Wypracowanej wówczas przewagi nie roztrwoniła. Po 64 minutach pierwsza partia padła jej łupem.

W drugim secie to Świątek początkowo serwowała bez zarzutu. W trzecim gemie miała trzy szanse na przełamanie Amerykanki, ale żadnej nie wykorzystała. Walka gem z gem toczyła się do stanu 5:4 dla Ani-



Iga Świątek na korcie twardym „King Saud University Indoor Arena” w Rijadzie nie sprostała Amandzie Anisimovej i pożegnała się z turniejem

simovej. W tym momencie podanie zawiodło 6-krotną mistrzynię wielkoszlemową. Rywalka wykorzystała pierwszego break pointa, który jednocześnie był piłką setową.

W decydującej partii, od początku nakładała na Świątek dużą presję. W swoich dwóch

pierwszych gemach serwisowych oddawała tylko po jednej piłce. Polka natomiast trzech break pointów musiała bronić już kiedy pierwszy raz serwowała. Wówczas podopieczna trenera Wima Fissette'a jeszcze wyszła z opresji, ale gdy czwartego gema zaczęła od stanu

0:40, to odwrócić już go nie zdołała i zrobiło się 1:3.

Świątek szansę na odrobienie straty miała tylko raz, ale nie wykorzystała jej w siódmym gemie. Chwilę później ponownie dała się przełamać, co oznaczało pożegnanie z turniejem.

- Kiedy robisz wszystko, a to i tak nie wystarcza, to chyba znaczy, że po prostu musisz poprawić swój tenis - podkreślała Iga Świątek.

Raszynianka próbowała zdiagnozować przedwczesną absencję z „WTA Finals 2025”.

- Czułam się dobrze psychicznie i fizycznie - wyjaśniła. - Więc, naprawdę nie rozumiem, dlaczego nie mogłam wyjść z grupy. Nie wiem, może wygrałam za dużo w ubiegłym roku i to karma. Naprawdę trudno mi powiedzieć. To trochę dziwne. Nie spodziewam się tego, ale z moich doświadczeń wynika, że jeśli włożę w to tyle intensywności i determinacji i tak bardzo mi zależy, to zazwyczaj się to opłaca. Zobaczymy więc, czy będę dalej pracowała, czy to się opłaci, czy nie.

Zatem Iga Świątek wraca do kraju szybciej, niż planowała. I już w przyszłym tygodniu (14-16 listopada, Gorzów Wlkp.) poprowadzi reprezentację Polski w turnieju o awans do przyszłorocznych kwalifikacji Billie Jean King Cup. ©

Wielkie hity nie zawiodły, głośno o występie Wojciecha Szczęsnego

Bartosz Głęb
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. W 4. kolejce fazy ligowej Ligi Mistrzów nie zabrakło niespodziewanych wyników oraz wielkich emocji. Hitowe starcia wygrały Bayern Monachium i Liverpool FC.

Defensywa Dumy Katalonii w meczu wyjazdowym z belgijskim Club Brugge była dziurawą niczym szwajcarski ser. Stojący w bramce gości Wojciech Szczęsny po raz pierwszy skapitulował już w 6. minucie, a tuż po upływie pierwszego kwadransa ponownie wyciągał piłkę z bramki. W drugiej połowie Polak został pokonany po raz trzeci, a jego kolegom z ofensywy udało się wyciągnąć tylko remis.

- Wydaje się, że mógł zrobić o wiele więcej przy dwóch pierwszych golach. Przy tak wysoko ustawionej drużynie bramkarz musi grać znacznie dalej do przodu. Puścił trzecią bramkę w drugiej połowie i prawie narobił wielkiego bałaganu pod koniec - napisał o Polaku kataloński dziennik Sport.

W doliczonym czasie gry, przy stanie 3:3, były bramkarz reprezentacji Polski postanowił wdać się w drybling we własnym

polu karnym. Stracił piłkę, która chwilę później zatrzepotała w siatce. Jednak prowadzący to spotkanie sędzia Antony Taylor uznał, że Wojciech Szczęsny był faulowany i trafienia Belgów nie uznał. Decyzja arbitra może jednak wzbudzać kontrowersje.

- Jakiego bałaganu mógł narobić Szczęsny! - podkreślił dziennik Marca.

W 58. minucie na boisku zameldował się Robert Lewandowski, ale nie był to ołsniewający występ kapitana reprezentacji Polski. Obrońcy Club Brugge nie pozwolili snajperowi w dojsciu do jakiegokolwiek dobrej sytuacji strzeleckiej.

- Polski napastnik był odosobniony. Zastąpił Ferrana w ataku Barcelony, ale miał problemy z regularnym włączaniem się do gry - zaznaczył dziennik L'Esportiu.

Polscy piłkarze grali wyłącznie w śróde. Oprócz wyżej wymienionej dwójki cały mecz w barwach Interu Mediolan rozegrał Piotr Zieliński. Wice mistrz Włoch mocno męczył się z kazachskim Kairatem Ałmaty, ale ostatecznie udało mu się wygrać 2:1. Przy pierwszej bramce mediolańczyków spory udział miał pomocnik reprezentacji Polski, który kapitalnym prostopadłym podaniem rozpoczął akcję swojej drużyny.

Bramkarz Mateusz Kochalski zaliczył znakomity występ przeciwko londyńskiej Chelsea FC, a jego Karabach Agdam niespodziewanie wywalczył remis 2:2 z czołowym angielskim klubem. Polak w drugiej połowie spotkania popisał się dwoma kapitalnymi interwencjami, ratując swój zespół przed stratą bramek.

Niestety, cały mecz na ławce rezerwowych Atalanty Bergamo przesiedział Nicola Zalewski. Ekipa polskiego skrzy-

dłowego pokonała na wyjeździe Olympique Marsylia 1:0.

We wtorek natomiast mieliśmy wieczór hitów. Angielski Liverpool FC przed własną publicznością zatrzymał hiszpański Real Madryt, wygrywając 1:0, natomiast niemiecki Bayern Monachium pokonał na wyjeździe francuskie PSG 2:1. Spore emocje były też w Madrycie, gdzie Atletico pokonało belgijskie Royal Union SG 3:1, chociaż wynik mógł być zupełnie inny. Druga połowa

spotkania obfitowała w ogromne emocje.

Do dużej niespodzianki doszło natomiast w śróde na Cyprze, gdzie tamtejszy Pafos FC pokonał przed własną publicznością hiszpański Villarreal CF 1:0.

Wracając jeszcze na moment do polskich wątków, w 4. kolejce fazy ligowej Ligi Mistrzów 2 spotkania prowadziły polskie zespoły sędziowskie. Szymon Marciniak był arbitrem głównym pojedynku Manchester

City - Borussia Dortmund, zakończony zwycięstwem The Citizens 4:1. Natomiast Damian Sylwestrak prowadził starcie FK Bodo/Glimt z AS Monaco, wygrane przez gości 1:0. W tym drugim spotkaniu w 81. minucie Polak pokazał czerwoną kartkę zawodnikowi gospodarzy.

Po 4 kolejkach tych elitarnych europejskich rozgrywek tylko 3 zespoły pozostały z kompletem punktów. Są to Bayern Monachium, Arsenal FC oraz Inter Mediolan. Na samym dnie pozostają natomiast Benfica Lizbona oraz Ajax Amsterdam. To spore zaskoczenie, biorąc pod uwagę, że nawet debiutujący kazachski Kairat Ałmaty ma na swoim koncie 1 „oczko”.

Nie można nie wspomnieć również o fantastycznym występie 18-letniego Dominika Sarapaty w Młodzieżowej Lidze Mistrzów. Nastoletni polski pomocnik, grający w barwach duńskiej ekipy FC Kopenhaga, strzelił gola i zaliczył 2 asysty w wygranym 3:2 pojedynku z Tottenhamem Hotspur.

Faza ligowa Ligi Mistrzów zakończy się dopiero pod koniec stycznia przyszłego roku. Finał tej edycji rozgrywek odbędzie się 30 maja na Puskás Arenie w stolicy Węgier - Budapeszcie. ©



FC Barcelona z Wojciechem Szczęsnym w podstawowym składzie i Robertem Lewandowskim, który wszedł z ławki, zremisowała na wyjeździe z Club Brugge 3:3

SPORT

www.sportowy24.pl

PIŁKA NOŻNA

W weekend rozegrane zostaną kolejne mecze w czwartej lidze na Pomorzu.

Program 15 kolejki: Arka II Gdynia - Gryf Wejherowo (sobota, godz. 11), Chojniczanka II Chojnice - Pogoń Lębork (niedziela, godz. 11), Gryf Słupsk - Sokół Bożepole Wielkie (sobota, godz. 17),

Anioły Garzegorze - Piast Czluchów (niedziela, godz. 11), Stolem Gniewino - Wierzyca Pielplin (sobota, godz. 11), KP Starogard Gdański - Pomezania Malbork (sobota, godz. 13), Grom Nowy Staw -

Czarni Pruszcz Gdański (sobota, godz. 12), Gedania Gdańsk - Powiśle Dzierzgoń (sobota, godz. 11), Jaguar Gdańsk - Bytovia Bytów (sobota, godz. 11). (stan)

PIŁKA NOŻNA

Pomorskie drużyny będą walczyć o punkty.

Mecze w Orlenie Ekstralidze kobiet: AP Orlen Gdańsk - GKS Katowice (sobota, godz. 12), Górnik Łęczna - Pogoń Dekpol Tczew (sobota, godz. 14). (stan)

Lechia pragnie punktów jak tlenu

Paweł Stankiewicz

pawel.stankiewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Lechia nie może pozwolić sobie na kolejną wpadkę, bo rywale uciekają. Musi zagrać odważnie i wygrać z Widzewem.

Piłkarze Lechii Gdańsk muszą zacząć wykorzystywać atut własnego stadionu. Drużyna na razie nie stworzyła twierdzy na Polsacie Plus Arenie, gdyż bilans to dwa zwycięstwa, dwa remisy i dwie porażki. Po wielu spotkaniach wyjazdowych biało-zieloni teraz grać będą głównie u siebie i potrzebują zwycięstw, bo strata do miejsca bezpiecznego w tabeli PKO Ekstraklasy wzrosła już do pięciu punktów.

Biało-zieloni od początku sezonu słynęli z gry atrakcyjnej, ofensywnej i skutecznej. Przy słabej defensywie, to nie dawało punktów. Później trenerzy na pewien czas to zbalansowali. Dziś jednak jest źle, bo nie ma ani atrakcyjności, ani skuteczności ani wyników. Wściekli kibice wygwizdali piłkarzy po przegranym meczu z Radomiakiem, a potem odwieźli ich w szatni, ale w sobotę podczas spotkania znowu z całych sił będą ich wspierać w walce o zwycięstwo nad Widzewem. W klubie z Łodzi nie brakowało latem drogich ruchów kadrowych, ale na razie zespół nie funkcjonuje na miarę oczekiwań. Widzew na wyjazdach w tym sezonie w PKO Ekstraklasie wygrał tylko jeden mecz przy pięciu porażkach i biało-zieloni muszą to wykorzystać.

- Drużyna robi wszystko, co może, ale też musicie zrozumieć, że trudno jest zaczynać sezon mając minus pięć punktów. Trzeba walczyć z zespołami, które przecież wcale nie są słabe, a Ekstraklasa to taka liga, w której każdy może wygrać z każdym. Nie szukamy jednak wymówek i będziemy dalej walczyć. Obiecuję, że w następnych meczach wszystko będzie wyglądać inaczej - zapewniał Bohdan Wjunnyk, który strzelił jedyną bramkę dla zespołu z Gdańska w przegranym meczu z Radomiakiem.

Wjunnyk dawniej był klubowym zawodnikiem w układance trenera Carvera. Ostatnio jednak stracił miejsce w podstawowym składzie, a potem

też nie był pierwszym wyborem podczas wprowadzania piłkarzy rezerwowych. Strzelił jednak gola w meczu z Radomiakiem, dał dobrą zmianę w spotkaniu STS Pucharu Polski z Puszcą Niepołomice i może to już czas, aby Bohdan wrócił do „11”. Zwłaszcza, że Aleksandar Cirković wciąż nie



Lechia musi zagrać dużo lepiej niż z Radomiakiem, żeby wygrać z Widzewem

gra tak, jak można było się spodziewać. Ma przebłyski, ale potrafi też na długo zniknąć z pola widzenia. Trenerzy Lechii muszą znaleźć taki wariant, który będzie najbardziej wydajny. Taki, który pozwoli drużynie wydobyć to co najlepsze w ofensywie, ale też nie wpłynie negatywnie na grę defen-

sywną. A natychmiastowa poprawa gry w tej formacji jest konieczna, aby myśleć o regularnym zdobywaniu punktów. Z przodu głównie trzeba liczyć na Tomasa Bobcka, który nie miał swojego dnia w meczu z Radomiakiem, ale jest zdecydowanie najlepszym napastnikiem w drużynie.

Inna sprawa, że w grze obronnej raczej nie ma czego zazdrościć trenerowi Carverowi. Bartłomiej Kłudka nie unika błędów, Matus Vojtko ostoja defensywy też nie jest. Wzmocnieniem okazał się Matej Rodin, ale bardzo trudno znaleźć mu odpowiedniego partnera. Elias Olsson, Maksym Diaczuk czy Bujar Pillana - żaden z nich nie daje drużynie komfortu w grze defensywnej.

Trener John Carver musi wydobyć drużynę Lechii z marazmu i znowu tchnąć w nią więcej pozytywnej energii. Dziś zespół potrzebuje punktów niczym tlenu. Kibice chcą zobaczyć drużynę biało-zielonych grającą odważnie i ofensywnie. Do tego przydałby się drugi napastnik, ale na takie rozwiązanie szkoleniowiec raczej się nie zdecyduje. Lechiastara się być bardziej pragmatyczna.

- Gdy mamy dwóch napastników, to nie do końca kontrolujemy środek boiska. Jak się wygrywa, to jest dobra decyzja, a gdy przegrywamy, to już nie - mówi trener Carver.

Mecz Lechii z Widzewem rozpocznie się w sobotę o godz. 14.45. Transmisja w Canal+ Sport 3. ©

Arka chce się postawić Lechowi. Obroni ligową twierdzę w Gdyni?

Paweł Stankiewicz

pawel.stankiewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Przed żółto-niebieskimi kolejne wyzwanie w meczu z mistrzem Polski. Arka Gdynia w niedzielę zmierzy się u siebie z Lechem Poznań.

W Arce mieli nad czym myśleć przez ostatnie dni. Drużyna została rozbita w Zabrzu przez zespół Górnika, a po tak wysokiej porażce nie jest łatwo się podnieść. Żółto-niebiescy chcą się zrehabilitować, ale przed nimi kolejne bardzo trudne zadanie, bo będą musieli to zrobić w starciu z aktualnym mistrzem Polski.

- Przed nami trudny tydzień, ale w życiu sportowca najważniejsza jest prawidłowa reakcja. Odpowiedzialność spada na mnie, ale wzięcie odpowiedzialności, to też reakcja i skupienie się na pracy. Zwłaszcza na defensywie, która zawiodła,

a właśnie poprzez grę obronną chcemy wygrywać mecze. W sporcie nikt nie lubi przegrywać, ale kluczowe jest właśnie to, jak zareagujemy po porażce, nawet takiej bardzo bolesnej - powiedział Dawid Szwarga, trener Arki, po wysokiej porażce w Zabrzu.

Po kolejnej wyjazdowej porażce wracały spekulacje na temat zwolnienia trenera Szwargi. W klubie jednak takich rozmów nie było. Sztab szkoleniowy pracował zatem nad tym, aby jak najlepiej przygotować drużynę do kolejnego bardzo ważnego meczu ligowego. Żółto-niebiescy mają pięć punktów przewagi nad strefą spadkową w tabeli PKO Ekstraklasy i to dużo, ale też mało. Drużyna nie może dać się uspić, bo dwie kolejki ligowe mogą całkowicie odwrócić sytuację.

Na czym Arka opiera optymizm przed meczem z Lechem? Przede wszystkim



Arka Gdynia będzie chciała się zrehabilitować za pogrom w Zabrzu w meczu z mistrzem Polski

na tym, że ma twierdzę w Gdyni. Przegrała wprawdzie starcie w STS Pucharze Polski z Górnikiem Zabrze, ale w PKO Ekstraklasie w bieżącym sezonie jeszcze u siebie ani razu nie przegrała. I zamierza to kontynuować także w starciu z zespołem mistrza Polski.

Lech musi łączyć rywalizację w PKO Ekstraklasie z grą w Lidze Konferencji. Najpierw zatem mecz w Hiszpanii z Rayo Vallecano, a dopiero potem spotkanie ligowe w Gdyni. Nie do końca to musi mieć większe znaczenie. Mistrzowie gubią punkty u siebie, gdzie wygrali tylko dwa mecze na osiem. Znacznie lepiej radzą sobie poza Poznaniem, bo na wyjeździe w PKO Ekstraklasie jeszcze tym sezonem nie przegrali. Bilans to trzy zwycięstwa i dwa remisy.

Jaką taktykę przyjmie na mecz z Lechem trener Szwarga w kontekście składu? Dokona zmian czy postawi

na tych samych piłkarzy, aby dać im szansę rehabilitacji? Pamiętając przy tym wszystkim o klasie rywala, z którym Arka się zmierzy i tu nie będzie miejsce na pomyłkę czy eksperymenty. Nie da się ukryć, że w niedzielę wieczorem na boisko musi wyjść drużyna żółto-niebieskich w swoim najlepszym wydaniu, aby myśleć o sprawieniu niespodzianki. Arka potrafiła wygrać u siebie z Wisłą Płock, która była wtedy liderem PKO Ekstraklasy, czy z Cracovią, więc u siebie jest w stanie postawić się wyżej notowanym rywalom. Teraz będzie musiała to pokazać w spotkaniu z zespołem mistrzów Polski. Ważna na pewno będzie odpowiedzialna gra w defensywie, bo Lech to drużyna o bardzo dużej jakości.

Mecz Arki z Lechem rozpocznie się w niedzielę o godz. 20.15. Transmisja w Canal+ Sport 3. ©